NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 4 lutego 1905 r. Nr. 6.

Znęcanie się żołdactwa rosyjskiego na trupach zamordowanych.



(Do artykułu na str. 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Zbrodnia w hotelu Kleina: Komisarz policyi po wyważeniu drzwi zastaje dwa trupy.

Od Administracyi.

Ze względu na liczne reklamacye, jakie otrzymujemy ciągle od naszych Czytelników, skarżących się, iż nieregularnie otrzymują nasze pismo, lub go też wcale nie otrzymują, oświadczamy, iż ekspedycya naszego pisma odbywa się punktualnie każdego piątku. Abonenci miejscowi powinni otrzymać zatem „Nowości Illustrowane“ każdego piątku popołudniu, zamiejscowi zaś w sobotę rano.

Znęcanie się żołdactwa rosyjskiego na trupach zamordowanych.

(Do illustracyi tytułowej.)

Barbarzyństwo rządu moskiewskiego nie zna granic. Historya ostatnich dwu stuleci, zaznaczyła się szeregiem gwałtów tego rządu, szeregiem rozbójniczych napadów na ościenne narody i szeregiem brutalnych podbojów. Przypomnąć sobie to wszystko — to wystarczy do ocenienia i wydania sądu o tym rządzie.

Ulice Warszawy i Pragi były już nieraz świadkami strasznych i krwawych rzezi i rzeki krwi naszej upłynęły od okrutnej rzezi na Pradze począwszy, a skończywszy na demonstracyach dni ostatnich.

Jest okrutna zwierzęcość w tych gwałtach, których świadkami jesteśmy niemal codziennie. Jest w tych wystąpieniach policyi i wojska dzika wściekłość hulającego i pławiącego się we krwi żołdactwa. A wyuzdanie nie pozwala im zostawić w spokoju nawet trupów zabitych ofiar.

Nieludzkie rozporządzenia policyi, a szczególniej nowomianowanego satrapy Petersburga Trepowa nie pozwalają rodzinie zabrać trupa i pochować go według zwyczaju chrześcjańskiego. Żołdactwo wywozi trupy wozami z miasta, ze szpitali i nocami wrzuca do Newy. Rzeka pochłonęła już setki trupów i mimo starań nikomu nie wolno urządzić pogrzebu chrześciańskiego i zwłoki poległych w czasie krwawej rewolucyi złożyć na miejscu poświęconem.

Ten nowy gwałt policyi rosyjskiej jest już wyrafinowanem znęcaniem się na trupach, co każdego musi do głębi oburzyć! Jest to wszystko robione pod płaszczykiem niedopuszczania do mogących w czasie pogrzebu ofiar wybuchnąć demonstracyj, ale wszyscy dobrze rozumią, że policya petersburska chwyciła się pierwszego lepszego pozoru, by znęcać się jeszcze nad trupami i bezcześcić poległych.

Rycina nasza wykonana przez naszego petersburskiego illustratora, przedstawia jedną z tych ohydnych scen nocnych wrzucania trupów do Newy.

Zbrodnia w hotelu Kleina.

W jednym z takich hoteli w Krakowie rozegrał się — wstrząsający grozą i zbrodniczem wyrafinowaniem — krwawy dramat.

Przed kilku dniami zajechała do hotelu Kleina młoda i sympatyczna para i zajęła jeden z lepszych „numerów“ zajazdu. On — wysoki przystojny brunet z pięknym wąsem i okrągłą czarną brodą — z wyrazem zadumy i melancholii w oczach. Ona smukła o trwożnem spojrzeniu gazeli — niezmiernie elegancka i dystyngowana.

Młodzi ludzie posługiwali się w obecności służby wyłącznie francuskim językiem, co nadawało im pozory „gości zagranicznych“. Kartki meldunkowe, potwierdzały to domniemanie. Tajemniczy goście wpisali się jako „Dr. Jan Braun z Czerniowiec z żoną“. Rzekome małżeństwo czyniło liczne zakupna w mieście i zawsze obładowani sprawunkami — powracali do hotelu.

Trwało to do czwartku z. t. W krytycznym tym dniu nie opuszczali już od południa hotelu. Natomiast posyłał „Dr. Braun“ kilka razy służącego hotelowego — po wódkę. Nicby w tem dziwnego, czy niezwyczajnego dopatrzeć się nie można, boć przecie i w Czerniowcach mogą być lekarze lubiący alkohol i żony ich nie odmawiające mężowi takiego poczęstunku.

Na drugi dzień jednak spostrzeżono coś — co już na niepokojące domysły naprowadzić mogło.

Oto z pokoju zajmowanego przez gości z Czerniowiec — słyszano na drugi dzień głuche, stłumione rzężenie — podobne do tego, jakie wydaje czasami człowiek w ciężkim, głębokim śnie pogrążony. Służba podsłuchiwała pod drzwiami. Chrapanie nie ustawało. Pukają — milczenie jest jedyną odpowiedzią. Dano znać gospodarzowi, który te same podejrzane oznaki skonstatował.

— Posłać po policyę! — zawołał p. Klein zaniepokojony.

O godzinie dwunastej w nocy sprowadzono wreszcie władzę bezpieczeństwa, reprezentowaną przez komisarza Kwiatkowskiego i dwóch ajentów policyjnych.

Gdy pomimo pukania i wezwania do otwarcia drzwi — nikt się z wewnątrz nie odezwał — wyważono siłą drzwi i wkroczono do pokoju.

Zastano widok ścinający krew w żyłach. Kobieta bezwładnie rozciągnięta na łóżku z widocznemi śladami gwałtownej śmierci, a obok mężczyzna z zastygłymi rysami, z kurczowo zaciśniętemi dłońmi — nie zdradzał już najmniejszego śladu życia.

Po opanowaniu pierwszego wzruszenia — przy-



Wybory na Węgrzech: Hr. Juliusz Andrassy jeden z przywódców opozycyi.

stąpiono z urzędu do smutnych nieodzownych formalności. Zbrodnia, czy przypadek? Samobójstwo, czy morderstwo? Kto on? kto ona? Oto pytania i kwestye, które należało rozwiązać. Rozwiązanie nie było nawet zbyt trudnem. W mężczyźnie poznano profesora lwowskiego uniwersytetu Gustawa Piotrowskiego, w denatce Jadwigę Brzozowską, córkę niedawno zgasłego poety Karola Brzozowskiego. Samobójcy, za jakich w pierwszej chwili oboje młodych uważano – nie pozostawili żadnej pisemnej wiadomości o sobie, ani o przyczynach strasznej tragedyi. Jedynie na stole znaleziono kartkę z lakonicznymi wyrazami: „Uwiadomić rodzinę – Gustaw“. Co innego jednak rzucało do pewnego stopnia światło na tajemnicę ich życia i śmierci. Na nocnej szafce stało kilka flaszek napełnionych do połowy morfiną i szklanka z tą samą trucizną. Na podłodze walała się jeszcze flaszka z wódki, a obok niej leżał nabity rewolwer.

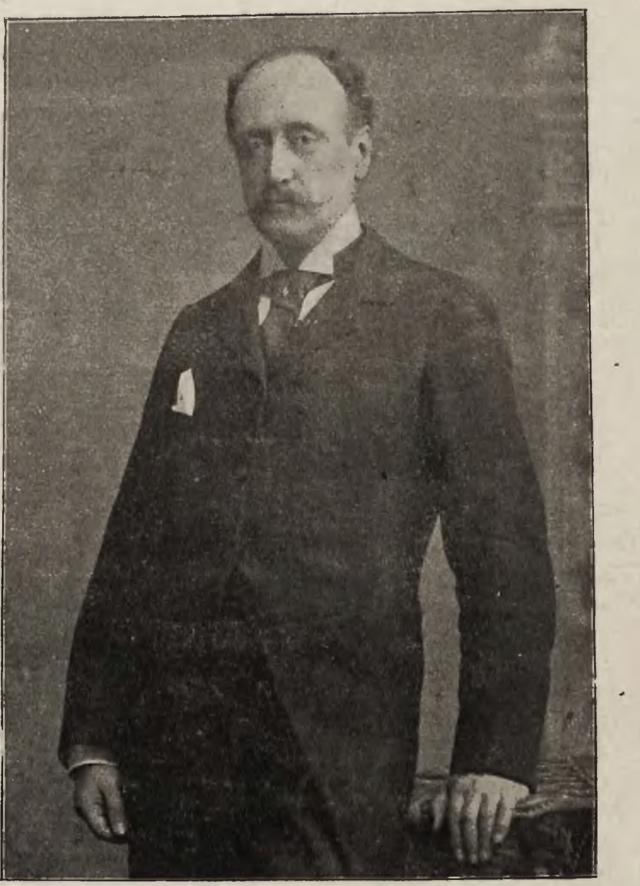
Zbrodnia tłumaczyła się sama przez się.

Oględziny lekarskie wykazały, że u Piotrowskiego śmierć nastąpiła przed kilku godzinami — śmierć spowodowana zatruciem morfiną. Kobieta przy ściślejszym badaniu dawała słabe oznaki życia. Po zastosowaniu odpowiednich odtrutek przewieziono ją do szpitala. Jest nadzieja, że po dłuższej kuracyi nieszczęśliwa odzyska zdrowie. Wypadek tragiczny wstrząsnął całym Krakowem. Oburzenie ogólne i pogarda towarzyszy do grobu złoczyńcy, który bez potrzeby, z wyrafinowaną i rozmyślną rozpustą dokonał prawdopodobnie seksualnego morderstwa na istocie wiernie i szczerze mu oddanej. Jedno, co do pewnego stopnia zmniejsza odpowiedzialność zaślepionego zbrodniarza: dziedziczne obciążenie w kierunku umysłowym i nieokiełznana niczemna namiętność, która doprowadziła do tego stopnia, że zapomniawszy o własnej żonie i dziecku — uwiódł w niegodny sposób córkę przyjaciela, a odbierając sobie życie, chciał i ją pociągnąć za sobą w otchłań grobową.

Wybory na Węgrzech.

W ubiegły czwartek t. j. dnia 26 stycznia, odbywały się na Węgrzech wybory. Rozwiązany zaraz po Nowym Roku sejm węgierski, zbierze się teraz w nowym składzie i polityka narodowa Węgrów święci obecnie wielki tryumf.

Wszyscy przypatrywaliśmy się z zaciekawieniem tej walce, jaką z rządem toczyli Węgrzy w imię swych narodowych haseł. Była to walka, która przybierała różne formy — ale była toczona z taką stanowczością i nawet więcej — z tak wielkiem roznamiętnieniem, że stanowi ona dowód z jednej strony ogromnego poświęcenia, a z drugiej strony ogromnego zainteresowania się jaknajszerszych warstw narodu węgierskiego sprawami narodowemi.



Wybory na Węgrzech: Franciszek Kossuth, głowa opozycyi węgierskiej.



Generał Fulton, b. prefekt policyi petersburgskiej, a obecnie pomocnik oberpolicmajstra warszawskiego, barona Nolkena. (Treść na str. 9).

Prezydent ministrów hr. Tisza narzucił Izbie poselskiej z końcem ubiegłego roku nowy regulamin, który miał uniemożliwić obstrukcyę t. zw. zjednoczonej opozycyi i zamknąć jej usta raz na zawsze. Ten „kagańcowy“ regulamin spotkał się jednak z należytą odprawą ze strony opozycyi, która doprowadziła do rozwiązania sejmu.

Na czele opozycyi stali ludzie powszechnie znani i cieszący się ogólną sympatyą i zaufaniem i prowadzili tę walkę z całą bezwzględnością. Fr. Kossuth — syn bohatera narodowego z r. 1848 – był moralnym i duchowym kierownikiem i koło siebie zgrupował całą opozycyę. Z partyą Kossuthowców złączyli się t. zw. Banffiści, t. j. radykalni posłowie ze swym przywódcą B a n f f y m, ludowcy i posłowie dyssydenci z hr. A p p o n y i m na czele.

Zanadto silną była opozycya, by hr. T i s z a, choć w środkach nie przebierał, mógł ją przezwyciężyć. Postanowił udać się z apelem do narodu i rozpisać nowe wybory, co do których spodziewał się, że wypadną po jego myśli.

Partya liberalna (z nazwy) z Tiszą na czele poniosła wbrew jej oczekiwaniom i nadziejom przy czwartkowych wyborach sromotną klęskę, choć, zdaje się, użyła wszystkich środków, nawet wojska sprowadzonego aż z Galicyi, by sterroryzować wyborców. Opozycya i jej duchowi kierownicy a więc Kossuth, Banffy, hr. Andrassy i hr. Apponyi odnieśli w dniu wyborów tryumf i zwycięstwo było po ich stronie a więc po stronie polityki w imię haseł narodowych.

Hr. Tisza, jako prezydent będzie musiał ustąpić — gdyż wybory okazały najwyraźniej, że zaufania narodu, do którego apelował, nie posiada. Obecnie droga dalszej pracy stoi przed opozycyą otworem i będziemy oczekiwali wyników jej polityki, na stanowisku partyi rządzącej. Nieobliczalne następstwa może wywołać polityka opozycyi nietylko dla samych Węgier ale i dla Austryi. Być może że radykalna polityka Węgrów spowoduje jakąś zmianę na lepsze i w stosunkach austryackich — a jestto bardzo możliwe ze względu choćby na to, że fakta takie miały już nieraz miejsce. Być może, że koncesye narodowe ze strony rządu dla Węgier — nie będą odosobnione i pociągną jeśli nie odrazu takie same koncesye dla narodów zamieszkujących Austryę, to przynajmniej koncesye idące tak daleko, że zostanie usuniętą z porządku dziennego na pewien czas rozkładająca Austryę walka narodowościowa.

Upadek Tiszy na Węgrzech — jest również nauczką dla rządu, że nie można łamać konstytucyi i praw, które raz sobie naród zdobył i że nie można tak, jak to ma miejsce w Austryi, podnosić do zasady prawa samowolę... choćby nawet takiego Tiszy.



Wybory na Węgrzech: Hr. Stefan Tisza, dotychczasowy prezydent ministrów.



Wybory na Węgrzech: Hr. Wojciech Apponyi, jeden z przywódców opozycyi.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

18 (Ciąg dalszy).

— O, pani ma słuszność! — zawołała ślepa. Wczas jednak się pomiarkowała i umilkła.

Ciupaga, zdziwiona mimowolnym wybuchem szczerości staruszki, przyglądała się jej czas jakiś uważnie, wzrokiem doświadczonego inkwizytora.

— Więc mieliście także nieporozumienia ze sprawiedliwością? – zapytała po chwili.

Ślepa skinęła głową lecz nic nie odparła. Ciupaga nie nalegała, od niechcenia niby, rzucała jednak ciągle bystre spojrzenia na Żarską, siedzącą nieruchomie, jak statua, przed piecykiem, ku któremu stojąca obok Sabinka wyciągała ziębnięte i jeszcze wilgotne od śniegu rączki.

Eks-akuszerka, wcale żwawo — pomimo podeszłego wieku – krzątała się po izdebce. Grzała na maszynce naftowej krupnik z miodu, wódki i korzeni; wydobyła z szafki kawał świeżego krowiego sera i sztukę słoniny. Postawiła wszystko na małym stoliczku.

— Widzicie, że będzie co włożyć w żołądek i czem go zakropić – rzekła, śmiejąc się głośno, a śmiech jej odkrył podwójny rząd, czarnych, spruchniałych zębów, ledwie trzymających się w pożółkłych dziąsłach.

— No, siadajcie do stołu!... Gdy mnie odsadzono od akuszerstwa, jak kota od mleka, chwyciłam się innego procederu, aby tylko pracować i nie zginąć z głodu. Stawiam, mojeściewy, ludziom kabałę i miewam jasnowidzenia. Niema drugiej w całej Warszawie, któraby tak, jak ja, odgadywała wiernie przeszłość i przyszłość. Mam tu w mieście siedlaka... zowie się Czupiradło... wprawdzie mieszka stąd daleko, ale jak chcę, to przychodzi... ten mnie usypia z wielką łatwością, a ja w onym śnie, który doktorowie nazywają magnetycznym, mówię najdziwniejsze rzeczy, a jednak zupełnie prawdziwe... Przydałby mi się jednak jeszcze ktoś drugi, coby mógł zasypiać na zawołanie, od jednego spojrzenia uroczych oczu, bo tajemna siła, co ją w sobie noszę, jakoś od pewnego czasu słabnie nieco we mnie... Oboje, z Czupiradłem, od dość dawna takiej osoby szukamy... Aż tu wy, moja ślepa, spadacie mi, jakby z nieba niespodzianie. Widzi mi się, że usypialibyście łatwo... Powiem wam szczerze, że czułam, iż was dziś spotkać muszę. Powiedziały mi to karty. Myślę, że spotkanie się nasze, może być dla was wielkiem szczęściem... i dla mnie również. Moglibyśmy zawiązać spółkę... Wóz mój wyreperujemy galanto i pojedziemy na prowincyę. W lecie sypiać sobie będziemy w lesie, lub na łące, nad wodą; w zimie w budzie, w której, jak pewno zauważyliście jest ciepło, co się zowie... No, i tak w kupie, nie zdechniemy chyba z głodu!

To mówiąc, wzięła się pod boki, stanęła przed Żarską i zapytała:

— Hej, matko! co mówicie na moją propozycyę?

Ślepa ukryła twarz w dłonie i milczała.

Po chwili rzekła:

— A mała?... co się stanie z małą?

— Ba! z początku, jeździć będzie z nami. Potem postaram się, żeby ją nauczono jakiego rzemiosła... dobrego rzemiosła, które pewny dochód przynosi, bo widzicie, mojeściewy, nędza, to szkaradny interes. Unikać go należy... Musicie o tem wiedzieć z doświadczenia, nieprawdaż?

Ciupaga – jak to już prawdopodobie zauważyli nasi czytelnicy – mówiła różnorodnym językiem, wyrażając się naprzemian tak, jak ludzie, należący do inteligencyi, o których często się w życiu ocierała, naprzemian zaś gwarą wiejską i przedmieściową, mieszając zwroty jednej, drugiej i trzeciej mowy, co nadawało jej gadulstwu pewien barwny i niezwykły charakter.

Ślepa tymczasem myślała w duchu: „Opuścić wrogą Warszawę, szukać Zosi, mieć przy sobie ciągle Sabinkę, zarabiać na własne i jej utrzymanie, nie być wiecznie osamotnioną i bez pomocy... kto wie... kto wie czy nie byłoby dobrze zgodzić się na żądanie kobiety... Marcin wspominał nieraz o hipnotyzmie, magnetyzmie, somnambulizmie... o usypiającej suggestyi, której doświadczano w szpitalu... nie musi być zatem w tem wszystkiem nic zdrożnego... Trzeba się jednak zastanowić“.

— Nad propozycyą pani pomyślę trochę... i jutro powiem, co postanowię — rzekła Żarska głośno.

— No, no, dość czasu i jutro. Do wójta nie pójdziem... Mam nadzieję, że porozumiemy się same bez rejenta i adwokatów.

Babka i Sabinka, pokrzepione wieczerzą i krupnikiem, wdrapały się po żelaznych schodkach na stryszek, w którym o staniu prosto, albo nawet o poruszaniu się swobodnem w schylonej postawie, dorosła osoba marzyć nie mogła; należało odrazu położyć się na podartym i zabłoconym sienniku, co też ślepa uczyniła. Dziewczynka zaś, zatkawszy słomą dziury w dachu, legła obok niej, nie wspominając nic o panującym tu nieporządku i niechlujstwie, żeby nie wzbudzić u Żarskiej obrzydzenia i wstrętu, wiedziała bowiem jak staruszka, po całodziennem znużeniu, potrzebuje snu i wypoczynku.

. . . .

Ciupaga pozostawszy sama, spać się nie położyła. Umiała ona znosić cierpliwie i wytrwale wszelkie dolegliwości fizyczne: głód, chłód, nawet bezsenność — a podniecenie, wywołane tylko co opisanem zdarzeniem, pozbawiło ją chęci do snu zupełnie.

Siedząc przed piecykiem, pod którym wylegiwał się olbrzymi kot czarny, pogrążyła się w dumaniach. Nie skłamała kabała dzisiejsza; karty powiedziały prawdę. Na godzinę przed pojawieniem się dziewczątka u drzwi wagonu, stawiała je dla siebie, a one wskazywały wyraźnie: „Spotkasz dziś kobietę, od której twoja fortuna zawisła“.

Powstała z krzesła i zaczęła się przechadzać po izdebce: gestykulując, uderzając się nieustannie długiemi, chudemi ramionami o meble i sprzęty, gadając wciąż do siebie głośniej i ciszej, to urywane wyrazy, to całe zdania, wbrew bowiem zasadom nowoczesnej sztuki dramatycznej, ile razy była sama, monologowała zawzięcie, jak bohaterka jakiejś starej tragedyi francuskiej.

— Być bogatą! — szeptała — być bogatą i wszystko wiedzącą!... Zrób mnie wieszczem, a zrobię cię bogatym, mówi stare przysłowie... Czyż w istocie spełnią się moje marzenia, które mi tyle razy spać nie dawały?!... Odgadywać przeszłość, wiedzieć teraźniejszość, choćby na jaknajrozleglejszej przestrzeni, przepowiadać przyszłość... i nigdy się nie mylić... nigdy, nigdy! Wielkie panie stoją przedemną struchlałe... zrujnowani i wyniszczeni panicze wytrzeszczają na mnie swoje głupie ślepia... a zakochane dziewczęta patrzą mi w oczy i czekają na wyrok, jaki wygłoszę... Jedne pocieszam, drugie przerażam, ściskając ich drżące serca w dłoniach... O, to byłoby szczęście!... szczęście prawdziwe!... a z niem, pieniądze, pieniądze... wiele pieniędzy!

Wyjęła z zanadrza skórzany woreczek i wysypała na stół monetę miedzianą, srebrną i złotą.

— Mieć tylko imperyały... same imperyały... pełną skrzynię! Czupiradło i jego facetka zazdrość mi będą... i im jednak coś się dostanie... Wynagrodzę, zapłacę... bo mi potrzebni...

Na zegarze, wiszącym na drewnianej ścianie izdebki, wybiła czwarta.

Cisza grobowa panuje w całej dzielnicy. Przez okienko wozu nie widać jeszcze nigdzie ani jednego światełka. Nawet w fabrykach ruch robotniczy nie zakłócił dotąd zupełnego spokoju.

Ciupaga otworzyła drzwi budy i stanęła w progu. Wiatr, który zerwał się znowu, miecie na nią śnieg, lecz ona nie rusza się z miejsca, bo potrzebuje świeżego powietrza i zimna, któreby ukoiło trawiącą ją gorączkę, któreby ochłodziło gorejące czoło i stary łeb, pokryty siwymi włosami, w którym kotłują się teraz przeróżne, sprzeczne myśli, uwidoczniające się w oczach, to błyskawicami gwałtownego gniewu i groźby, to spojrzeniem pełnem słodyczy. W duszy jej, splugawionej walką o byt, budzi się czasem uczucie szczerej dobroci, litości, miłosierdzia i tęsknego jakiegoś żalu. Ciupaga nie była nigdy młodą. Wszyscy nią pogardzali, odpychając od siebie istotę straszliwie brzydką. Ona zaś, nie zaznawszy nigdy żadnej miłości, podjęła się rzemiosła kobiet, przyprowadzających na świat rodzące się z miłosnych stosunków niemowlęta. W tym zakresie, spełniała podjęte obowiązki bardzo pomyślnie i zręcznie, lecz skrycie – nie miała bowiem wymaganych przez władzę kwalifikacyj, ani dyplomu. Zarabiała dużo, wielki jednak zarobek właśnie, obudzający zawiść konkurentek, sprawił, że tajemnica została ujawnioną. Zaaresztowaną i stawioną przed sądem, skazał trybunał na kilkumiesięczne więzienie. Wyszedłszy z kozy nie było zawodu, któregoby nie próbowała. Niektóre z procederów, jakim się poświęciła, nosiły na sobie znamiona zbrodni. Między innemi przyjmowała kilkodniowe dzieci na wyżywienie i wychowanie; kiedy niekiedy jednak — gdy ją za to suto zapłacono — „fabrykowała aniołki“. Wspomnienie o tem zachmurza czasem jej czoło i budzi drżenie starego serca. Co noc prawie robi rachunek sumienia, a zgryzota szarpie wówczas jej dziwnie skomplikowaną, chociaż pozornie tylko marną duszę“. Wiele już lat upłynęło od wyprawienia na tamten świat ostatniego „aniołka“, pamięta go jednak, jakby nań teraz patrzyła, i uspokoić się nie może. Dziś jednak odpycha od siebie złowróżbne myśli, bo dziś całą siłą chłopskiego przesądku – nie rozwianego ani miejskim cynizmem kolegów-rzezimieszków i nożowników, ani przebywaniem od czasu do czasu w towarzystwie ludzi, względnie przynajmniej wykształconych — wierzy głęboko, że nareszcie trzyma szczęście w garści.

Silniejszy podmuch śnieżnej wichury zmusza Ciupagę cofnąć się do budy i drzwi zamknąć. Znużona upada na krzesło i zasypia.

Zbudziła się dopiero o jasnym dniu. Śnieg przestał padać, spokój zapanował w naturze, a z blado-błękitnego nieba ustąpiły czarne chmury, rozpędzone na wszystkie strony świata, dmącym przez całą noc wiatrem.

Żarska śpi jeszcze, lecz Sabinka — której uganiające się po poddaszu szczury spać nie dały — już się myje i czesze. Po chwili schodzi i ślepa na dół.

Ciupaga przyrządza kawę, wołając babkę i wnuczkę na śniadanie.

— Musimy pomówić z sobą na seryo — rzecze fabrykantka aniołków. Czy zgadzacie się pozostać ze mną i pracować razem?

— Nie miałabym nic przeciw temu — odpowiedziała ślepa — pragnę bowiem bardzo zarabiać na życie własne i mojej małej Sabinki, lecz zarazem chcę koniecznie odszukać drugą moją wnuczkę, którą, z wielkiem mojem zmartwieniem, nagle nam zginęła...

— A czy o jej zniknięciu złożyliście deklaracyę w cyrkule?

— Nie — odpowiedziała Żarska.

— He, he! Może to i lepiej... Zresztą, nie mieszam się do rzeczy, które was, moja kobieto, specyalnie obchodzą i są tylko waszymi, osobistymi interesami. Radzę jednak i nie kłopotać się zbytecznie i nie rozpaczać. Dziecko znajdzie się niewątpliwie... Ręczę za to... zwłaszcza, że gdy razem wyjedziemy z Warszawy, żeby przez czas dłuższy kręcić się po prowincyi, musimy na ślad wnuczki waszej natrafić... Do odszukania jej dopomogę wam wszystkiemi mojemi siłami... a i stosunków mam

dosyć między ludźmi... więc to się zrobi... to się ne pewno zrobi!...

— Czy, proszę pani, pojedziemy także w góry? — zapytała Sabinka.

Twarzyczka jej promienieje niezwykłą pogodą, nadzieja bowiem rychłej podróży w celu odszukania Zosi, napełnia jej serduszko dziecięce wielką radością.

— Tak, moje kurczątko, a jakże... pojedziemy!

Dziewczynka, uszczęśliwiona, klasnęła w dłonie. Tyle się nasłuchała od ojca i matki, o pobliskich górach i ich krasie, że pragnęłaby jaknajśpieszniej je poznać.

Ciupaga zaś zwróciła się znowu do Żarskiej:

— Ale, ale, mojeściewy, powiedzcie nareszcie, jak się zowiecie, bo przecie, gdy mamy żyć z sobą razem, musimy poznać się, chćby tylko po wierzchu, zwłaszcza, że zarabiając wspólnie, trzeba będzie nieraz rachować się z zarobku.

— Nazywam się Janina.

— To tylko chrzestne imie, a ja was pytam o nazwisko.

— Zawsze mnie tak zwano.

— No, no... rozumiem o co wam chodzi... niech tam! Przy meldowaniu i wyrabianiu paszportu na prowincyę będzie z tego powodu trochę kłopotu, lecz jakoś się na to poradzi. Zwać was będę Janina i koniec.

Żarska mimowolnym ruchem przycisnęła do siebie Sabinkę, stojącą obok i pocałowała ją w czoło.

— I to rozumiem. Bądźcie spokojni, nikt wnuczki waszej wypytywać i badać nie myśli. Dla mnie, mojeściewy, pozostaniecie na zawsze tylko Joanną, ona zaś tylko Sabiną. Rzecz postanowiona, nie mówmy o tem więcej... basta!... Ja jednak chciałabym, żebyście mnie choć co nieco poznali. Więc wam w krótkich słowach opowiem, kim zacz jestem i skąd pochodzę. Urodziłam się we wsi, pod Krakowem, ale rodziców moich nie znałam. Podrzucili mnie maleństwem jeszcze biednej, bezdzietnej komornicy, przy której trzymałam się do lat ośmiu, pasając gęsi i kopiąc ziemniaki na gospodarskich łanach. Oni zaś polecieli gdzieś w świat daleki i nigdy nie starali się ani mnie poznać, ani mną się zająć. Chłopaki wiejskie przezwali mnię Ciupagą i Ciupagą do dziś dnia pozostałam. Przechodziłam ze służby do służby, bita, poniewierana, morzona głodem, aż nareszcie dostałam się do miasta. Rozum i doświadczenie z latami przybywały, więc próbowałam rozmaitych sposobów zarabiania na życie. Los nie zawsze mi sprzyjał. Bywałam na wozie i pod wozem, nigdy jednak nie dałam się nikomu okiełzać i przewodzić nad sobą. Zawsze robiłam to tylko, co chciałam. mszcząc się, ile razy mogłam, na ludziach za krzywdy doznane. Nigdy przecież nie łajdaczyłam się; nigdy nie prowadziłam życia rozwiązłego, jak naprzykład niegdyś Złota-Rączka, która pomimo to gnije w nędzy, bo musi wychowywać i karmić dwoje dzieci, z których niema wielkiej pociechy.

Czoło jej pokryła chmura smutku. Umilkła.

Dzień przeszedł na układaniu projektów na przyszłość.

Ślepa zgnębiona wielu, jedno po drugiem walącemi się na nią, nieszczęściami, nie oburzała się, i nie protestowała, przyjmując, niemal bez oporu, propozycye Ciupagi.

„Wszakże żyć trzeba!" — myślała; a przedewszystkiem „nie dać z głodu zemrzeć Sabince", jedynemu dziecku, jakie jej po ukochanym synu pozostało.

O Janku zapomniała zupełnie. Biedne jej serce, w strasznych katuszach, jakie znosić musiała ciągle, biło już tylko miłością dla córek ubóstwianego skazańca, którego prawdopodobnie nie ujrzy już więcej.

Pod wieczór, Ciupaga owinęła głowę chustką wełnianą, wdziała na siebie kaftan, podbity barankami — i zapowiedziała, że oddalić się musi.

— Czy pani pozostawi nas same? — zawołała przerażona babka.

— Nie macie się czego lękać! Zamknijcie drzwi z wewnątrz i śpijcie spokojnie. Gdy wrócę, zapukam, a Sabinka mi otworzy. Muszę koniecznie widzieć się z Czupiradłem i Złotą-Rączką, a o tej tylko porze, późnym wieczorem, w domu zastać ich można. Chodzi tu o nasz wspólny interes. Niechże ta podobna dłużej próżnować, bo pieniądze okrągłe, więc łatwo się rozlatują. Powtarzam, że bać się nie ma czego. Złodzieje nie tacy głupi, żeby łakomili się na moje stare rupiecie.

Wyszła.

Sabinka rzuciła się w objęcia babki, poczem obie ukłękły i zaczęły się modlić gorąco. Osamotnione, opuszczone, czuły, jak serca ściskają się im boleśnie, lecz modlitwa pociesza najbardziej zmartwionych, więc po chwili uspokoiwszy się, zamknęły drzwi, aby położyć się spać na stryszku, wyprzątniętym i zamiecionym przez Sabinkę.

Noc, chociaż chłodna, była śliczna. Niebo bez chmur, iskrzyło się gwiazdami. Mróz ścisnął świeży śnieg, a przechodnie wydeptali w zaspach świeże ścieżki, któremi Ciupaga podążała z Solca na Czyste. Idąc żwawo, dotarła o godzinie dziewiątej do celu swej wycieczki.

W budzie zastała dzieci same.

— Ooo!... Ciupaga! — zawołała Graziella, nadstawiając przybyłej do pocałowania jasne czoło. — Istne dziwo, że nareszcie przybyliście do nas. Oddawna was nie widzieliśmy.

— Czy ojciec i matka wrócili z miasta?

— Jeszcze nie.

— Od dni kilku powracają bardzo późno — rzekł Piotruś głosem zmienionym, spoglądając z podełba na kobietę.

Kwiat-Nędzy milczał. Siedząc w ciemnym kącie, patrzał z roztargnieniem w około, a myśl jego wybiegła z izby daleko... gdzieś bardzo daleko. Od dni kilku łajany, popychany i bity nieustannie przez Złotą-Rączkę, stępiał i utracił wszelką energię.



...i wysypała na stół monetę miedzianą, srebrną i złotą.

— A, oto i zaśniad! — powiedziała Ciupaga, dostrzegłszy smutnego chłopaka. Złota-Rączka dowodzi, że nic z niego nie będzie, a ja temu nie wierzę. Kto jest tak, jak on, zbudowany, powinien łatwo zarabiać na kawałek chleba. Trzeba tylko umieć żebrać, choćby śpiewając...

— Och, jakżebym chciał stąd się wydostać! — szepnął Janek, powstając z krzesełka i zmierzając ku drzwiom powoli.

Lecz Graziella przytrzymała go za połę i przesunąwszy delikatnie rączkę po jego zmierzwionej czuprynie, powiedziała mu cichutko do ucha:

— Nie pójdziesz... bo nie pozwalam... bo Piotruś i ja bardzo cię kochamy. Coby się z tobą stało, gdybyś nas porzucił? Pomyśl tylko!

Chłopiec. chociaż jakiś dziwnie senny i zdrętwiały spojrzał z wdzięcznością w piękne oczy Rózi, która odwróciwszy się, rzekła do Ciupagi:

— Ja i mój brat przepadamy za Kwiatem-Nędzy. To nasz jedyny przyjaciel, przed którym zwierzać się możemy z naszemi myślami; to jakby nasz brat rodzony, którego postanowiliśmy bronić od prześladowań, choćby z poświęceniem własnego życia. Złota-Rączka bywa często dla niego niesprawiedliwą.. a Czupiradło także; zwłaszcza, gdy pijany... więc nie jesteśmy tutaj szczęśliwi i sami nie wiemy, co się z nami stanie.

— Ba... trzeba was żywić, mojeściewy, a pieniędzy tu chyba mniej jeszcze niż u mnie.

— O! co do mnie - rzekł Pietrek — chciałbym sam na siebie pracować i widzieć Graziellę i Janka uczących się jakiegoś uczciwego rzemiosła, nie zaś biegać tu i tam i ludziom się naprzykrzać, żeby kiedy niekiedy sprzedać z trudem jedną lub dwie figurki gipsowe.

— Powiedz to swemu ojcu, mikrusie!

— Już ja mu to powiem!... Chociaż liczę niby tylko lat czternaście. mam sił i woli tyle, co każdy dorosły człowiek.

— Wracają! — zawołała Graziella, która przez nieco uchylone okienko wyzierała na ulicę.

Po chwili, Czupiradło i Złota-Rączka wtłoczyli się do izby.

— Jeszcze nie śpicie, żbiki! — krzyknęła złośnica.

— Czekaliśmy na ciebie, matko — odparła Rózia. Macie gościa.

— A!... a! Ciupaga! Jakiż dobry wiaterek, przyniósł cię tu, kabalarko? — zawołał Czupiradło.

— Przychodzę pogadać z wami o dobrym interesie, który wspólnie zrobić możemy.

— W sam czas przychodzicie, bo u nas bryndza straszliwa! Żeby wyżywić mikrusów, trzeba będzie chyba zabrać bogatym to, czego sami po dobrej woli dać nie chcą.

Pietrek i Graziella drgnęli całem ciałem, a Janek zasłonił sobie uszy rękami, żeby nie słyszeć.

— Zła myśl, mojeściewy!.. Niech was czart nie kusi, bo wyniknie stąd szkaradna bieda — powiedziała poważnie Ciupaga.

— Ba! ba! z sianasi wyleść muszę!

— Ja was z niej wyprowadzę.

— Ty?... Nie żartuj! Wiem, co mi zaproponujesz, żebym ruszył z tobą w drogę i na jarmarkach bębnił przed budą, zwołując głupich, wierzących w twoje karty i jasnowidzenia.

— No, nie koniecznie, żebyś bębnił... Może mam coś dla ciebie lepszego?

— Coś lepszego? — zachichotał pijak. Czy mam jaką starą babę, leżącą na hopach. udusić? Co?

— Za kogo mnie masz?!. Wiesz przecie, żem nie kryminalistka. Nie zamordowałam nikogo i nigdy nie ukradłam nikomu ani grosza!

— Kiedy tak, to gadaj ciotko Iwasia. czego odemnie pragniesz, bo dotąd cię nie rozumiem.

— Znalazłam kobietę, jakiej oddawna szukamy... w dodatku ślepa... będziemy z nią robić, co nam się spodoba...

— Ale!... Jasnowidząca?

— Tak... a gadać będzie! ludziom samą szczerą prawdę. Ja się na tem znam

— Ha! to może masz słuszność! Jasnowidząca, powiadasz?... i ślepa... Więc dęba nie stanie, gdy człowiek zechce poprowadzić ją na uzdeczce. Jeśli, moja Ciupago, mówicie prawdę, nie zawaham się przystąpić do spółki. Wleziem wszyscy, ile tu nas jest, do twojej budy i jazda. choćby po świecie całym!

— Wiesz przecie, że nigdy nie kłamię.

— Czy niewidoma zgadza się na jazdolinę?

— Tak.

— Czy jest sama jedna tylko, czy też z kompaniją?

— Ma dziecko przy sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rewolucya w Petersburgu: Robotnicy walczą na barykadach przeciw wojsku.

Rewolucya w Petersburgu.

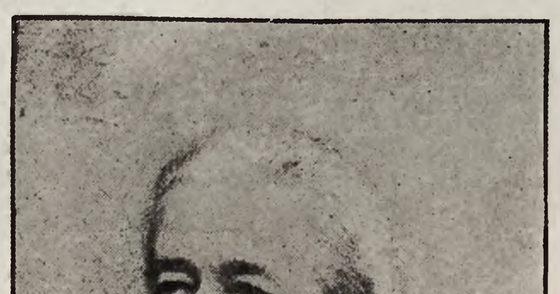
W dniach 21, 22 i 23 stycznia ulice Petersburga zalane były krwią i zasłane trupami.

Lud rosyjski zaprzestał pracy we wszystkich fabrykach, by iść do cara prosić o swobodę dla siebie i dla całego narodu. Nawet domagać się nie chciał — ale szedł prosić! Z prośbą w ręku, z chorągwiami cerkiewnemi i z krzyżami szedł tłum, który do tego czasu bał się wystąpić publicznie. Na jego czele stał pop Gapon, fanatyk, który się łudził, że car przyjmie go wraz z deputacyą robotników i wysłucha prośby.

Na niedzielę dnia 22 zapowiedzianym był pochód robotników przed pałac cesarski. Już poprzedniego dnia masy robotnicze przeciągały tłumnie ulicami, demonstrując i łącząc się w coraz to większe gromady. Policya, żandarmi i kozacy napadali z całą bezwzględnością na tłum i rozpędzali, bijąc i raniąc bez litości. Zachowanie się policyi wskazywało na to, że i na drugi dzień, t. j. w niedzielę, użyje rząd nie mniej brutalnych środków do stłumienia wszelkiego ruchu i rozpędzenia tłumów. Ale tłumy były tak wielkie, że siły policyi i żandarmeryi nie wystarczały. Przeciwko robotnikom, którzy z różnych stron miasta w liczbie 150 tysięcy dążyli przed pałac cesarski — wysłano na rozkaz naczelnika korpu u petersburskiego W. ks. Włodzimierza 10 tysięcy wojska, które zajęło wszystkie place i ulice, prowadzące ku cesarskiemu pałacowi. Samego pałacu, gdzie schronił się car z rodziną, broniła gwardya.

Tłum, na czele którego stał Gapon, posuwał się wolno i majestatycznie naprzód ze śpiewami cerkiewnymi na ustach. Obok Gapona kroczyło kilku popów, ubranych w ornaty i niesiono chorągwie. Przy ogrodzie Aleksandryjskim przyszło do starcia. Gdy Gapon układał się z dowódcą kompanii, by przepuścił tłum — nagle wojsko dało ognia i setki rannych i trupów zwaliło się na ziemię. Reszta poszła w rozsypkę.

Inne gromady wyglądały nieco inaczej. Bezwzględne postępowanie wojska, widok krwi zabitych i rannych, którzy masami padali na bruku—



„Liga dla obrony czci“: Książę Jerzy Czartoryski prezes Towarzystwa.

wprawił w taką wściekłość tłumy, że mimo straszliwej rzezi, mimo stosów trupów, ludzie nie ustępowali i bronili się do upadłego czem kto mógł.

Wkrótce zaopatrzono się w broń w zdobytych magazynach i walka przybrała inne trochę formy.

Ze sprzętów, wyciągniętych z domów na ulicę zbudował tłum barykady i za nimi bronił się, odpierając wojsko. Rzucano na nacierających żołnierzy ręcznemi bombami, strzelano z rewolwerów, a w końcu walczono na pięści, a zemstę wyładowywano na każdym wyrwanym z szeregu żołnierzu lub oficerze. Rycina nasza przedstawia walkę na barykadach w pobliżu Newskiego Prospektu.

Kilkudziesięciu padło już od kul strzelającego wojska, ale tłum broni się zajadle, by pomścić przelaną krew współtowarzyszy. Ci, którzy mają rewolwery strzelają, inni rzucają czem mogą w stronę wojska, a wściekłość i rozpacz nie pozwala ustąpić. A wojsko nie oszczędza nikogo, bo taki nakaz rządu! Bruk uliczny pławi się w krwi, a stosy trupów na barykadach podniecają lud do walki do upadłego.

Już oni nie proszą! W jednej godzinie zrozumieli, że o prawa trzeba walczyć!

Liga ku ochronie czci.

Dochodzenie uraz i obelg z bronią w ręku, ma pozory pewnej rycerskości, wymaga sporej dozy odwagi i śmiałości — o ile oczywiście pojedynek nie jest traktowany jako formalność, reklama lub pretekst do libacyi zwaśnionych.

Czy po wymianie strzałów w powietrze lub efektownem a bezkrwawem skrzyżowaniu pałaszy „staje się zadość honorowi“? Nie będziemy się o to sprzeczać — z całą stanowczością jednak można twierdzić, że najmniej zadośćuczynienia naruszonemu honorowi, dostarczają pojedynki z krwawym lub śmiertelnym wynikiem. Pomijając już często zachodzącą nierówność szans potykających się, że dalej rezultat jest po największej części zawisły raczej od ślepego trafu, a nie od sprawności walczących — to przeciw instytucyi pojedynków prze-



Jubilaci lwowskiej rady miejskiej: Radny St. Markiewicz.

mawiają o wiele poważniejsze argumenta. Zarówno z punktu widzenia chrześciańskiej etyki, jak ogólno-ludzkich ideałów ludzkości, jak wreszcie ze stanowiska ustawy, pojedynek jako taki jest rzeczą niemoralną, jest rozmyślnem godzeniem na życie lub zdrowie bliźniego, w wielu zaś wypadkach — staje się rozmyślnem morderstwem.

Człowiek inteligentny i uświadomiony czując się przez drugiego na honorze skrzywdzonym, znajdzie z pewnością przy dobrej woli — inne drogi zadośćuczynienia czy rehabilitacyi swojej, bez uciekania się do barbarzyńskiego zwyczaju podnoszenia morderczej broni na siebie. Pomijając bowiem ustawą wskazaną drogą karno-sądowego, na którą nie każdy się decyduje — istnieją przecież jeszcze instytucye prywatnych polubownych sądów, usuwające w zupełności owo „złe konieczne“ jak niektórzy nazywają pojedynki.

Ludzie przychodzą też wreszcie do przekonania że konieczna jest stała nieustająca instytucya zajmująca się bezkrwawem załatwianiem sporów honorowych. W monarchii pierwszy Wiedeń ukonstytuował t. zw. „Ligę antipojedynkową“. Za przykładem Wiednia poszedł i Lwów, zakładając stowarzyszenie o podobnych celach. Stowarzyszenie to nosi tytuł „Liga ku ochronie czci“ i rozwija się świetnie, bo w przeciągu niecałego roku doszło do ilości 750 członków. Na czele stowarzyszenia stoi książę Jerzy Czartoryski, którego portret w niniejszym numerze podajemy, wiceprezesem jest p. Dolińskl prezydent sądu, p. Krechowiecki zaś piastuje godność sędziego dla spraw prasowych.

W roku bieżącym zamyśla towarzystwo przystąpić do Ligi anti-pojedynkowej we Wiedniu.

Jubilaci lwowskiej Rady miejskiej.

Dwadzieścia pięć lat upływa teraz właśnie od tej chwili, w której na radzieckich ławach nadpełtwiańskiego grodu za prezydentury Gnoińskiego zasiedli młodzi ludzie: Michał Michalski, Stanisław Markiewicz, Aleksander Getritz, dr. Emil Byk i Jakób Beiser.

Już wówczas do młodych ludzi obywatele lwowscy musieli mieć zaufanie, już wówczas ta piątka posiadała licznych zwolenników i mir w mieście, skoro z urny wyborczej wyszły ich nazwiska. A praca ich musiała być bezsprzecznie obfitą w owoce, ich czyny, ich postępowanie musiały odpowiadać życzeniom współobywateli, skoro ćwierć wieku bez przerwy przesiedzieli na radzieckiej ławie. doczekali się na niej siwizny i dziś święcą dwudziestopięcioletni jubileusz współudziału swego w rządach miasta.

Przypatrzmy się tym jubilatom:

Michał Michalski, rękodzielnik, człowiek nader energiczny, odznaczający się tak zwanym zdrowym rozumem, nie tylko, że przez dwadzieścia pięć lat zabierał głos w sprawach obchodzących miasto, ale stał nawet w pierwszych szeregach u głównego steru, gdy po Schayerze został obrany pierwszym wiceprezydentem. Ostatnio po ustąpieniu dra Godzimira Małachowskiego w jego ręku spoczęło berło autonomicznych rządów. Postać to typowa, znana w całym Lwowie i ogólnie lubiana dla swej szczerości i otwartości w mowie i postępowaniu.



Jubilaci lwowskiej rady miejskiej: I. wiceprezydent m. Lwowa Michał Michalski.



Jubilaci lwowskiej rady miejskiej: Radny Jakób Beiser.

Drugi jubilat, zamożny i zapobiegliwy kupiec, Stanisław Markiewicz, nie sięgał nigdy po wyższe autonomiczne godności i zawsze zadawalał się krzesłem radzieckiem. Pilny, pojmujący dobrze, w czem tkwi interes gminy, szczery przyjaciel młodzieży handlowej a przytem znany ogólnie z nieposzlakowanego charakteru, zdobył sobie popularność i sympatyę. Ta sympatya i popularność dozwoliły mu doczekać się jubileuszu.

Nie mniej sympatyczną postacią jest radny Aleksander Getritz, właściciel zakładu intrologatorskiego, żołnierz z 1863 roku. Głos jego najczęściej może rozbrzmiewał na sali obrad, on najgorącej może stawał w obronie interesów współobywateli. Długoletni referent budżetu miejskiego, po przeprowadzeniu sprawy 20-milionowej pożyczki, ustąpił swego referatu młodszym. Objął go dr. Rutowski, a stary radny zadowala się tem, że dalej stoi na straży dobra obywateli i gminy, ścierając się nieraz na ostre z kolegami, którzy nie na tak daleką metę patrzą w przyszłość, jak on, osiwiały w pracy publicznej bojownik.

Dr. Emil Byk, poseł do Rady państwa i prezes lwowskiego zboru izraelickiego, również zasłużył się miastu, choć głównie zastępował interesy swych współwyznawców. Jako poseł miał w Wiedniu i ma znaczne wpływy, których nie oszczędzał nigdy, byleby tylko żądania reprezentacyi lwowskiej poprzeć u rządu i zapewnić rozwój miastu pod każdym względem.

Ostatni z pięciu jubilatów Jakób Beiser, radca lwowskiej Izby handlowej i sekretarz zboru, prawa ręka posła Byka w zarządzie tą instytucyą, człowiek pełen zapału i energii, skrupulatny i rzetelny pracownik, a przytem wyborny znawca stosunków miejskich i potrzeb ogółu mieszkańców, mir i poważanie zapewnił sobie nieskazitelnością charakteru i ofiarnością, z jaką spieszy każdemu, nie szczędząc ani rad ani materyalnej pomocy.

Tych pięciu jubilatów, którzy piastują również godność delegatów Rady miejskiej, mających za zadanie kierowanie nawą gminną podczas letnich feryi radnych, koledzy uczcili hucznym bankietem w sali Strzelnicy zeszłego tygodnia, gdzie dobrze zasłużonym ojcom miasta wszyscy składali serdeczne gratulacye, wyrażając życzenia, aby doczekali złotego jubileuszu pracy dla dobra starej stolicy.



Jubilaci lwowskiej rady miejskiej: dr. Emil Byk, Radny, adwokat i poseł do Rady państwa.



Jubilaci lwowskiej rady miejskiej: Radny Al. Getritz.



Rewolucya w Petersb urgu: Typy robotników petersburskich, t. zw. „bradiagi“.

Przywódca rewolucyi w Rosyi.

W każdej rewolucyi pojawiają się tajemnicze osobistości, które na wzburzonych falach roznamiętnionego tłumu — wypływają na powierzchnię, utrzymują się przez jakiś czas na niej, a spełniwszy dziejowe swe posłannictwo — znikają, giną na jakiś czas nawet w pamięci współczesnych, aż znowu historya utrwala na swych kartach ich imiona.

W rzędzie historycznych przywódców ludowych mamy Tomasza Münzera i Floryana Gayera. (wojny chłopskie w Niemczech), Joannę Darc, Żyskę (wojny husyckie) u nas Chmielnickiego. Gontę, Żeleźniaka (wojny kozackie) i wiele innych.

W obecnie rozgrywającej się krwawej rewolucyi rosyjskiej — wysunęła się na czoło mistyczna postać mnicha jako przywódcy ruchu robotniczego. Słowem swojem i postacią, jakby zapożyczoną z pierwszych wieków chrześciańństwa — pociąga za sobą tłumy biednych, głodnych i wydziedziczonych. Stoi na ich czele ten mnich ubogi i z krzyżem w ręku prowadzi ich na strzały carskich żołnierzy wydaje proklamacye do ludu, wojsko rozwiązuje z przysięgi złożonej na wierność carowi — i wypowiada autokratyzmowi wojnę...

Takim jest pop Ojciec Grigoryj Gapon.

Syn ubogiego chłopa z gubernii połtawskiej, przywdziawszy nawet duchowne suknie — nie przestał czuć się krwią z krwi, kością z kości ludu. Cała jego działalność życia streszczała się w trosce o byt i los najniższych sfer ludowych i robotników rosyjskich. Urządził organizacyę — zwoływał zgromadzenia robotnicze, a poza tem i teoretycznie pracował nad ulżeniem twardej doli proletaryatu. Między innemi wypracował także memoryał uzasadniający potrzebę przemiany więzień i domów karnych na domy pracy i kolonie rolnicze karne. Podobno nawet i car, któremu memoryał ten przedłożono — miał się o pracy mnicha z uznaniem wyrazić.

W ostatnich latach poświęcił się O. Gapon wyłącznie ruchowi robotniczemu, mając niezłomne przekonanie, że „służba dla ludu w szacie duchownego jest o wiele wydatniejszą i bogatszą w owoce, aniżeli służba rządowa lub obrońcy prawnego“.

O. Gapon jest jeszcze młodym człowiekiem, nie wygląda na więcej jak 40 lat życia. Rysy jego malują wybornie jego duchową stronę: przebija z nich stanowczość połączona z pewnem marzycielstwem i rozegzaltowaniem.

W niniejszym numerze podajemy reprodukcyę portretu zagadkowego mnicha, według jedynego fotograficznego zdjęcia, jakie udało nam się z Petersburga otrzymać.

Bohater smutnej sławy.

Do ludu, który z pobożną pieśnią na ustach zdążał przed bramy zimowego pałacu w Petersburgu, aby tam swe żale i skargi na czynowniczą Rosyę przedłożyć carowi, ze strony wojska padły strzały.

Krew robotnicza, zabarwiła śniegi na ulicach Petersburga. Żołdactwo pohulało sobie siekąc, szablami i knutami bezbronne tłumy. a autorem tego



Fot. Lewicki. Petersburg.

Przywódca rewolucyi w Petersburgu: Ojciec Gapon.

rozboju, katem, który tak strasznej zbrodni się dopuścił, jest jenerał Trepow, któremu car dyktatorską władzę oddał w ręce, gdy tylko nadeszła wieść



Bohater smutnej sławy: Jenerał Trepow. autor rozbojwó ulicznych w Petersburgu, obecny dyktator carstwa.

że lud się burzy i pragnie zmiany obecnych stosunków w Rosyi.

Popłynęły strumienie krwi. przepełniły się więzienia zarówno szarym robotniczym ludem, jak i inteligencyą, która z sympatyą powitała ów ruch rewolucyjny.

Jenerał Trepow grozą i represaliami postanowił zgnieść w samym zarodku „bunt“ malkontentów. I udało mu się to, udało przynajmniej na chwilę. Rękami aż po łokcie ubroczonemi w krwi ludu, podpisuje dziś ten dyktator ukazy i z tryumfującą miną spogląda na opustoszałe ulice miasta, pogrążone w cmentarnej ciszy, wsłuchuje się w ciche skargi i płacze sierot po zamordowanych.

Kim jest ten jenerał Trepow?

Chciwy krwi, jak tygrys, będąc policmajstrem w Moskwie, okrucieństwami swemi przy tłumieniu rozruchów studenckich, zdobył tak smutną sławę, że socyaliści-rewolucyoniści wydali nań wyrok śmierci. a sam car uznał za stosowne odwołać go z tego stanowiska i pozwolić. aby odwagę, jaką zadokumentował wobec bezbronnych w Moskwie, okazał w równym stopniu na Dalekim Wschodzie.

Trepow usunął się, ale na plac boju nie kwapił się zbytecznie. Bohaterzy jego pokroju nie chętnie nadstawiają swych piersi na kule wrogów! A tymczasem rewolucyoniści usiłowali wykonać na nim ów wspomniany wyrok śmierci. Zamachy, a było ich kilka, nieudały się i Trepow dożył tej chwili w której car przestraszony wieściami o ruchu rewolucyjnym, rozsiewanymi przez kamarylę dworską, władzę w okręgu petersburskim powierzył jemu.

Tu Trepow okazał znów swe bohaterstwo: znów odkrył się smutną sławą!

Krwawa demonstracya w Radomiu.

Zajścia niedzielne w Petersburgu odbiły się szerokiem echem aż po krańce Rosyi. W Moskwie, Saratowie, Rydze, Libawie i wielu innych miastach robotnicy demonstracyjnie przeciągali ulicami, wznosząc okrzyki na cześć walczących w Petersburgu ich współtowarzyszy. Pożar rozniósł się szybko, a wśród wielu miast, które objął, znalazł się i Radom.

Radomscy robotnicy dali się poznać szerszemu ogółowi w czasie ostatniej mobilizacyi i w akcyi antymobilizacyjnej okazali wiele dzielności, poświęcenia i zapału. Dzięki im wyjazd zmobilizowanych rezerwistów opóźnił się znacznie, a w krwawej walce, jaką stoczyli z wojskiem w noc wigilijną położyli trupem pułkownika Bułatowa i kilku oficerów.

We wtorek dnia 24 stycznia przyszła w południe do Radomia wiadomość o rewolucyi w Petersburgu. W okamgnieniu wieść ta z rewolucyonizowała całe miasto, robotnicy porzucili pracę i rozwinąwszy czerwony sztandar ruszyli w demonstracyjnym pochodzie przed koszary wojskowe. Znaczna ich część była uzbrojoną w rewolwery. Przed koszarami tłum się zatrzymał i dopomógł rezerwistom do wyważenia bramy i złączenia się z pochodem.

Przeciw ludowi skonsygnowano zaraz cały gar-



Rewolucya w Petersburgu: Oficerowie gwardyi na straży przed pałacem zimowym.



Krwawa demonstracya w Radomiu: Zołdactwo rosyjskie morduje robotników.

nizon radomski. Przyszło do walki na ulicy, a lud i rezerwiści piersią w pierś starli się z wojskiem i policyą.

Dowódca robotników celnym strzałem rewolwerowym położył trupem dowódcę kompanii piechoty. Wojsko strzeliło w tłum i jako jeden z pierwszych padł ranny na ziemię dowódca robotników. Żandarmi rzucili się na niego z szablami — ale tłum stanął w jego obronie. Z jednej i drugiej strony padały gęste strzały. Po stronie wojska padło kilku oficerów i kilkudziesięciu żołnierzy; straty po stronie robotników dochodzą liczby 100. Pod naporem przeważających sił lud ustąpił, a żandarmi dobili szablami przywódcę.



Uwięzienie M. Gorkiego: Maksym Gorkij, literat rosyjski.

Rycina nasza przedstawia najgroźniejszy moment tej krwawej i strasznej walki, gdy wrze bój około rannego przywódcy robotników. W pierwszych szeregach walczyli obok robotników i chłopi rezerwiści, którzy złączyli się z ludem.

Demonstracya wywarła ogromne wrażenie i cała prasa nasza i zagraniczna podawała wiadomości o walce w Radomiu z tem przeświadczeniem, że będzie to początek pożaru ogarniającego i Królestwo.

Generał Fułłon.

Generał Fułłon, prefekt policyi petersburskiej, został ze swego stanowiska usunięty, z chwilą wybuchu rewolucyi w Petersburgu. Za mało był on energicznym w tłumieniu rozruchów, za mało dawał pewności dyktatorowi W. ks. Włodzimierzowi, że użyje wszystkich najostrzejszych środków, by ruch rewolucyjny zgnieść. Trepow dał dowody w tłumieniu rozruchów, że nie cofnie się przed niczem. Generał Fułłon nie był wcale łagodnem jagnięciem, nie doszedł jednak jeszcze do takiej perfekcyi, jaka zdaniem dyktatury musiała być zastosowaną w czasach dla samodzierżawia groźnych.

Generał Fułłon udaje się obecnie jako szef policyi do Warszawy, gdzie już przed kilku laty służył przy policyi. Warszawa pamięta go jako żandarma nieugiętego i z całą bezwzględnością ścigającego i prześladującego wszelki objaw „buntowniczego" myślenia.

Prawdopodobnie obawa przed możliwymi rozruchami w Królestwie a szczególniej w Warszawie, zadecydowała o wysłaniu Fułłona do Warszawy z pomocą Nolkenowi, który w tak gorących czasach ma roboty ponad własne siły.

Tymczasem z Królestwa, Warszawy, Łodzi i Częstochowy nadchodzą codziennie głuche wieści o rozruchach, o strejkach powszechnych i rewolucyjnych dążeniach.

Do dziś dnia niema pozytywnych danych, pewnych wiadomości ani o tych wypadkach, ani o tem, jaką postawę przybrał wobec nich jenerał Fułłon. Przypuszczać jednak należy, że krwawy ten jenerał pójdzie śladami Trepowa i ruch ludowy zechce wtopić w krwi strumieniach.

Car wiedział kogo ma dać do pomocy baronowi Nolkenowi.

Uwięzienie M. Gorkiego.

Literatura nie tylko rosyjska, ale i wszechświatowa, ma w Gorkim jednego z najwybitniejszych przedstawicieli. Prawdziwy poeta, umiejący z całą naturalnością oddać życie, niezrównany jako społeczny psycholog, naturalizmem przedstawianych scen uderzający i porywający, jest jednym z tych „młodych" duchem, którzy stoją na czele „Młodej Rosyi".

Jeden z tych, którzy mogą imię narodu rosyjskiego reprezentować na zewnątrz godnie i w dzisiejszych czasach rozpraszać te mroki, które otaczają i w których pogrążone są dzieje Rosyi.

Strzały, jakie rozległy się przed tygodniem na ulicach Petersburga, wstrząsnęły do głębi Gorkim i napełniły jego duszę nadzieją, że zbliża się Wschód.

Marzył poeta kiedyś o walce i bohaterskich porywach i o krwawym wschodzie słońca, o dniu wyzwolenia, w którem Rosya poczuje się prawdziwie wielką sprawiedliwością i wolnością powszechną — i gdy zaczęły bić na alarm dzwony cerkiewne stanął przy walczących i jako idealny przywódca liberalnej części inteligencyi rosyjskiej, podpisał i należał do tych, którzy redagowali manifest do narodu.

Wyjechał do Rygi, gdzie wybuchły rozruchy uliczne na wieść o rewolucyi petersburskiej — i tam został uwięziony jako podejrzany o należenie do Komitetu rewolucyjnego. Spełnił swój obowiązek obywatelski i na karcie historyi Rosyi, imię jego zostanie zapisane nietylko jako literata-poety ale i jako dzielnego obywatela.

Ostatnie alarmujące wieści, jakie ze stolicy carów na świat się przedostały — opiewają, że uwięziony poeta-rewolucyonista — skazany na śmierć został. Wiadomość ta wstrząsnęła nie tylko Rosyą, ale całym cywilizowanym światem, który wielbi wielkiego człowieka. Tysiące ludu podpisało petycyę do cara o uwolnienie Gorkiego. Rząd rosyjski najpraktyczniej i najbezpieczniej dla siebie postąpiłby uwalniając natychmiastowo Gorkiego z więzienia. Skazanie go może być ową iskrą — rzuconą niebacznie na podminowany grunt caratu.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

19 (Ciąg dalszy).

Nie czekała długo, bo już w kilka godzin po przybyciu Rózi, przyjechał książę i wpadł do buduaru. Przyskoczyła do niego Klara z włosami rozpuszczonemi, z obnażonemi ramionami, niby Afrodyta, wynurzająca się z morskiej piany. Książę rzucił się w jej objęcia i pocałunkami zatykał jej usta.

Pieszczotami bez granic, bez miary, wynagradzał i sobie i Klarze, dwudniowe rozłączenie, dwudniowe niepokoje.

Przebiegła kobieta umiała zawsze pociągać ku sobie, a niczem nie zrazić; umiała być zawsze powabną. Bo to wątpliwości nie ulega, że kobieta może umieć się podobać, że to „podobanie się" bywa u niej sztuką, wprawą, zręcznością raczej, niż wrodzonym darem natury. Tą sztuką, udoskonaloną w teatrze, opanowała księcia i nią księciem władała. Był teraz najuleglejszym jej niewolnikiem. Nietylko zmysły jego, krew, młodość, ale nawet własna godność, poczucie obowiązków rodzinnych, dynastycznych, ludzkich, poszły w niewolę ognistych spojrzeń, falujących piersi i namiętnych ust, bezwstydnej kobiety.

Więc nie dziw, że byłby w tej chwili na tronie ją posadził, gdyby już sam na nim zasiadł. A ona czytała to w jego twarzy, w jego uścisku i przepełniała się nie miłością, nawet i nie namiętnością, ale pychą' próżnością, żądzą zemsty nad Judytą i Wurmem, pragnieniem dostojeństwa władzy, znaczenia.

I godzina płynęła za godziną: księciu na uniesieniach wulkanicznych — Klarze na komedyi miłości.

— A jednak musimy się taić, ukrywać przed światem z naszą miłością, nawet z naszem małżeństwem — szeptała melancholijnie.

— Czyż to umniejsza nasze szczęście? Czyż nie żyjemy dla siebie i tylko dla siebie? – odpowiedział książe.

— Ale to upokarzające i dla mnie i dla ciebie. Czyż ty mnie nigdy nie wprowadzisz do zamku książęcego? Czyż wiecznie mam żyć w ukryciu, jak pustelnica? Przecież młoda jestem i chciałabym należeć do tego świata, który jest twoim i który mi się należy, boć jestem żoną twoją.

— Jeszcze nie teraz. Bądź cierpliwa; nadejdzie pora. Niech się tylko oswoją w zamku z tem, co się stało.

— Czy sądzisz, że rodzice twoi uznają mnie za synową, za następczynią tronu?

— To niemożliwe, bo zawsze prawo dynastyczne orzeka wyraźnie, iż następca tronu musi się ożenić tylko z księżniczką krwi dynastycznej.

Boże! a więc ja?

— Jesteś moją żoną i zostaniesz nią, ale uznania urzędowego, jako następczyni tronu, mieć nie możesz.

— Więc jestem niczem?

I zalała się łzami, a płakała tak znakomicie, że książe wzruszył się do głębi i pocałunkami łzy jej wysuszał.

— Uspokój się aniele mój! szczęście moje! Czeka cię coś więcej, niż godność następczyni tronu. Kiedyś, po najdłuższym życiu mego ojca, gdy zasiądę na tronie, ty będziesz panującą księżną, bo takie nasze prawo rodzinne, iż panujący może morganatyczną żonę podnieść do godności książęcej i nadać jej też same prawa, jakieby miała żona z domu dynastycznego.

Klara takiem teraz rzuciła spojrzeniem, że byłby się książe musiał niem przerazić, gdyby je był spostrzegł.

Nazajutrz, koło południa odjechał książe do stolicy. Klara spoglądała za nim przez okno, ale nie z tęsknotą i łzami, jeno pycha wydęła jej usta, a złośliwy uśmiech je krzywił. Ile tam piekielnych myśli przebiegało jej przez głowę! Może być panującą księżną, może na tronie zasiąść! Hrabianka Landesberg będzie zmuszona całować jej ręce. Wurm będzie się zginał w pokorze. Ale ojciec Ferdynanda żyje! Gdyby też umarł? Ha! niechby już umarł, niechby nie zawadzał jej szczęściu, niechby jej nie zagradzał drogi do tronu. Gdyby też umarł? Ale jak to sprawić? A! jest Ludwik! Szaleje za nią! Wstrętna poczwara. Ale może być użytecznym. Trzeba go znowu pozyskać. Książe uwierzył w jej uczciwość. Uwierzył! On będzie znowu wierzył, bo oddał w niewolę i ciało i ducha.

* * *

Widma.

Krystynowi nieźle się działo. Przywieziono go wprawdzie do rządowego zakładu dla obłąkanych, gdzie miano zamknąć Waltera, ale trafił we dobrą porę. Właśnie wtedy zachorowało dwóch dozorców i nie można sobie było bez nich poradzić. Dyrektor zakładu ucieszył się nawet, gdy się przekonał, że mu przywieziono zdrowego dozorcę, zamiast obłąkanego malarza. To też nie gniewał się wcale na strażników, wysłanych do doktora Katzenbergera, że się pozwolili Krystynowi wywieść w pole. Również obaj lekarze: prymaryusz i sekundaryusz, byli temu radzi, bo Krystyn okazał się bardzo zręcznym i uczciwym dozorcą chorych, a umiał też zjednać sobie życzliwość innych dozorców.

Ów zakład znajdował się w starym klasztorze, wśród lasów, a przytykał do niego stary kościół klasztorny. Lud wiejski pomijał tę miejscowość, bo od dawna powtarzano sobie, że duchy zmarłych zakonników pokazują się niekiedy, zgniewane, że w murach klasztornych zamykają waryatów. Nawet pośród strażników istniała wiara w te widma, chociaż się do niej nie przyznawali.

Gdy się Krystyn o tem dowiedział, powziął myśl, ażeby skorzystać z tego zabobonu i ułatwić sobie ucieczkę. Korzystając z tego, że mógł swobodnie chodzić po całym gmachu, rozpatrywał się we wszystkich jego zakątkach i odkrył stare drzwi, wiodące z korytarza do kościoła. Otworzył je bez wielkich wysiłków i dostał się przez nie do podziemnych sklepień kościoła, w których były grobowce zakonników, a stamtąd można było przez otwór w zawalonem sklepieniu wydrapać się do dzwonnicy.

To odkrycie bardzo go ucieszyło, tem bardziej, że udało mu się dotrzeć do jakiegoś lamusa, w którym znalazł resztki dawnych składów klasztornych, a pośród nich kilka habitów, jeszcze nie zupełnie zniszczonych wilgocią.

Pewnego dnia, gdy dozierał chorych na przechadzce w ogrodzie, spostrzegł w małem, zakratowanem oknie, przytykającem prawie do samej ziemi, jakąś twarz smętną niemłodego mężczyzny. Zdawało mu się, że twarz tę gdzieś dawniej widział, więc z ciekawością teraz jej się przypatrywał. Oprócz niego nie było żadnego dozorcy; chorzy spokojnie się przechadzali, więc mógł bez przeszkody wpatrywać się w zakratowane okienko.

— Krystyn! Prawda? — odezwał się głos z poza kraty.

— Tak, jestem Krystyn.

— Proszę zbliżyć się do mnie. Głośno mówić nie mogę, żeby w korytarzu nie usłyszano, bo zamknęłoby mnie znowu do piwnicy. Proszę tu się zbliżyć.

Krystyn przysunął się do okienka, popatrzył w twarz mówiącego i o mało nie krzyknął ze zdumienia.

— Pan Sterneg! Wszelki duch Pana Boga chwali — szepnął Krystyn. A więc pan żyje?

— A któż to mówił, że umarłem?

— Ej, ej, co tam teraz o tem gadać, mówili o tem, pisali. Teraz nie możemy o tem rozmawiać, bo mógłby kto zobaczyć, ale ja się tam do pana dostanę, pogadamy.

W samą porę przerwali rozmowę, bo w ogrodzie zjawił się inny dozorca, więc należało mieć się na baczności.

Już następnego dnia zdarzyło się Krystynowi bardzo szczęśliwie, bo ów dozorca, co czuwał nad celą Sternega, musiał wyjechać po jakiegoś obłąkanego, którego do zakładu sprowadzić musiano, a zastępstwo powierzono Krystynowi. Mógł więc z całą swobodą rozgadać się o wszystkiem. Sterneg mu opowiedział, jak go tu z więzienia w nocy przywieziono i zamknięto nie jak chorego, ale jak skazańca, w tej ponurej celi. Obchodzono się z nim, jakby ze zbrodniarzem, znęcano się nad nim, a gdy raz uniesiony gniewem, czynił wyrzuty dozorcom, zamknięto go w piwnicy ciemnej i wilgotnej.

Łzawe to były dzieje, ale jakby odżył teraz Sterneg, gdy Krystyna zobaczył, gdy mógł się z nim nagadać. Znał go bardzo dawno, bo ojciec Krystyna był leśnym, podwładnym Sternega, a że zginął we walce z kłusownikami, Sterneg zajął się Krystynem, pomagał mu, wreszcie posadę u Katzenbergera wyjednał.

Krystyn rozmawiał, a zarazem układał teraz plan ucieczki, o której od dawna myślał.

— Muszę panu dług wdzięczności spłacić - mówił Krystyn. Dziś uciekamy.

— Co mówisz? to szaleństwo!

— Niech mi pan tylko zaufa. Musimy się spieszyć, dopóki mam dozór na tym korytarzu. Jutro może być zapóźno.

— Ależ to niepodobieństwo! pochwycą nas, albo zabiją. Ja o życie nie dbam, ale ciebie byłaby szkoda.

— Zdaj to pan na mnie. Będzie wszystko dobrze. Przed północą przyjdę po pana, prosze na mnie czekać.

To rzekłszy pożegnał Sternega, wyszedł i zamknął celę na klucz.

Przekonawszy się, że wokoło zupełna cisza, że niema nikogo na korytarzu, poszedł w znane sobie podziemia kościelne, wybrał dwa najlepsze habity, ukrył je pod odzieniem i wrócił z niemi do swej izdebki. Miał już zapas waty, której pakiet zabrał przy sposobności z apteczki szpitalnej. Przed północą zrobił z waty długą brodę i przyczepił ją sobie zręcznie do twarzy, przywdział na siebie habit, głowę nakrył kapturem, potem wszedł do celi Sternega, jego tak samo ustroił. Aż do tej chwili wszystko wiodło się pomyślnie, dopiero gdy wyszli na korytarz, zjawił się starszy dozorca, który co pewien czas zaglądał do wszystkich cel i korytarzy, kontrolując podwładnych dozorców.

Krystyn nie stracił przytomności, szepnął Sternegowi, by szedł za nim śmiało i posuwał się wolnym krokiem naprzeciw zbliżającego się dozorcy. Ten, zoczywszy dwie postacie mnichów, krzyknął przeraźliwie, zaczął uciekać, ale wnet upadł z przestrachu. Ów krzyk usłyszeli inni dozorcy i przybiegli w chwili, gdy Krystyn ze Sternegiem uciekali za owemi drzwiami, do podziemi kościelnych wiodącemi. Przerażenie ogarnęło wszystkich. Trzęśli się i żaden słowa przemówić nie mógł.

Tymczasem Krystyn ze Sternegiem dostali się szczęśliwie do dzwonnicy, z której było wyjście ku lasowi. W tem miejscu był zawsze żołnierz na straży. Krystyn odsunął rygle od wrót dzwonnicy i obaj ze Sternegiem wyszli śmiało ku żołnierzowi. Myśleli, że będzie trzeba rzucić się na niego i rozbroić go, zanimby zdołał wystrzelić, ale się tak nie stało, bo żołnierz na widok mnichów cisnął karabin i uciekł. Krystyn karabin podniósł i poszli w las ze Sternegiem.

Ruch nagły i wytężony zmęczył ich bardzo, do czego też doznane wrażenia nie mało się przyczyniły. Trzeba było odpocząć, a lękali się pościgu. Na szczęście dla nich, w zakładzie dopiero z rana spostrzeżono ucieczkę, więc nawet nie myślano już o ściganiu zbiegów, tylko dano znać władzom w stolicy.

Tymczasem odpoczęli sobie dobrze i w dalszą puścili się drogę. Dopóki lasu starczyło, szli razem, a potem postanowili rozejść się, żeby mniej zwracać na siebie uwagi. Pożegnali się serdecznie i rozeszli, a Krystyn nakłonił Sternega, że zabrał ze sobą, porzucony przez żołnierza karabin, bagnet zaś odkręcił Krystyn i ukrył przy sobie.

Sterneg omijał za dnia gościńce i wsie, tylko po odległych polach zdążał w stronę Adlersfeldu. Cały dzień szedł bez pożywienia, zaspakajając głód po drodze albo jagodami leśnemi, albo jakim spadłym z drzewa owocem.

Już zmrok zapadł, gdy znowu dostał się do lasu. W lesie było mu najbardziej swojsko, bo od dziecka całe życie w nim spędzał, więc też jakby w towarzystwie najlepszego przyjaciela cieszył się tu z odzyskanej swobody. Chociaż okolicy tej nie znał, przecież w lesie nie błądził i zdążał w stronę Adlersfeldu śmiało, spoglądając tylko na gwiazdy, lub dotykając kory na drzewach. Las był wielki. Sterneg wreszcie poznał go i ucieszył się bardzo, bo wiedział, że gdzieś niedaleko musi tu być opuszczona leśniczówka, z której uciekł niegdyś leśniczy przed kłusownikami. Umyślił sobie zajść do niej i tam spocząć pod dachem. Ciemno już było zupełnie, bo gwiazdy pokryły się chmurami; Sterneg zgłodzony, już i siły tracić zaczął, więc chciał zgdziebądź rzucić się pod drzewo, by snem głód uciszyć. Ale jeszcze wytęża siły, jeszcze idzie, chociaż bardzo zwolna, gdy nagle przez gęstwinę leśną zobaczył światło rzęsiste.

Ciekawość go ożywiła; o ile mógł przyspieszał kroku i oto, zamiast opustoszałej leśniczówki, widzi okazałe domostwo. Zdala, przez otwarte okno dochodzi go śpiew kobiecy i dźwięk fortepianu. Głos niby zna; może się myli. Mrowie przeszło przez niego, krew zawrzała; siły mu się zdwoiły, biegnie, głos coraz wyraźniejszy, już jest blisko okna, patrzy.

— To ona! – wrzasło coś w głębi jego duszy.

Klara siedziała przy fortepianie i śpiewała aryę z opery, zwrócona plecami do okna. Sterneg spiął się na okno i wszedł przez nie do pokoju tak ostrożnie, że Klara nic nie słyszała.

— „Gdy będę królową, na tronie zasiądę" — śpiewa Klara, wtem zabrzmiał za nią głos Sternega:

— Szatanem będziesz, piekłu cię oddam na pastwę.

Zerwała się Klara z miejsca; osłupiałym wzrokiem patrzyła na przybyłego, głos jej w piersi zamarł, kolana uginały się pod nią.

— Widmo! widmo! — szeptała Klara.

Sterneg podniósł karabin, wymierzył w pierś Klary i rzekł ponuro:

— Na kolana i módl się. jeżeli jeszcze modlić się umiesz. Musisz zginąć podła ścierko.

Teraz dopiero ocknęła się Klara, oprzytomniała zupełnie. i widzi przed sobą tego, którego tak nikczemnie zdradziła, który tyle przez nią ucierpiał. Umrzeć nie chce. Teraz właśnie, gdy jest u szczytu powodzenia, gdy wszystkie jej marzenia ziszczają się, jedno po drugiem, gdy jej świta już najwyższe szczęście, bo zapewnienie księcia, że może kiedyś zasiąść na tronie; teraz przecież umierać nie można! Więc rzuca się do nóg Sternega i obejmuje stopy jego rękami.

— Precz odemnie – krzyknął Sterneg, bo splamisz moje łachmany.

— Zlituj się! przebacz! nie bądź mordercą, ty, coś całe życie był taki szlachetny – jęczała Klara i łkała rzewnie.

— Wstań natychmiast, skoro się nie modlisz. Prędzej.

Klara powstała, a nawet w tej chwili jeszcze myślała o sile wdzięków, bo wstając obnażyła śnieżne ramię i z takim kokieteryjnym wdziękiem ułożyła swą postać, jakby miała przed sobą nie widmo śmierci, ale oczy zalotnika. Sterneg przeszywał ją wzrokiem pogardy, a to już było dla niej lepsze, niż groźba śmierci, więc dobywa ostatków energii i rzuca sidła ognistych spojrzeń, lubieżne usta otwiera, pierś unosi – mistrzyni!

— Jeszcze w takiej chwili nie możesz zapomnieć swego rzemiosła. Jakaś ty podła. Słuchaj ty wszetecznico; od kuli giną bohaterowie na polu bitwy; byłoby dla ciebie za wiele zaszczytu, gdybym cię zastrzelił. Niech cię Bóg osądzi za śmierć dziecka, za moją krzywdę, za twoją nikczemność. Chciałem ci napluć w oczy, aleś nie godna i tego.

Zwrócił się ku oknu. raz się jeszcze obejrzał.

— Niech cię Bóg sądzi!... Niech ci Bóg... przebaczy — szeptał ze łzami i wyskoczył przez okno.

Klara zadzwoniła. Wbiegła służba.

— Gonić, szukać. Jakiś szaleniec tu zaglądał, przestraszył mnie. Może to zbój — zawołała i padła na szezlong. Wyczerpały ją wrażenia.

Służba rozbiegła się po lesie, ale Sterneg uszedł szczęśliwie.

* * *

Baronowa napisała list do Ryszarda i odczytywała go właśnie przed włożeniem do koperty.

„Mój ty jedyny!

Nie chciałam ci zakrwawiać serca, więc milczałam o nowem nieszczęściu. Ale milczeć dłużej nie mogę, bo wypada cię zawczasu oswoić z tem, co już lada chwila nastąpić może. Ziemię twoich ojców, dobra Adlersfeld chcą ci zabrać. I to kto? Nikczemny, potworny syn Czerwonej Maryny, dostał je zapisem od tej awanturnicy Sternegowej. Za co? trudno mi dociekać. Ten nikczemnik ośmielił się zuchwale napaść mnie i żądać, abym mu zaraz majątek oddała. Nie masz wyobrażenia, w jaki brutalny sposób wpadł do mnie. Bertold się z nim rozprawił, jak należało. Całe szczęście, że ów akt nie ma jeszcze urzędowego zatwierdzenia, ale gdy je ten opryszek uzyska, wyrzuci mnie z domu. Radziłam się naszego adwokata. Wyjaśnił mi, że gdy będzie legalizacya owego aktu, będę musiała majątek oddać, lecz oddanie można odwlekać czas jakiś. Mam to najsilniejsze przekonanie, że ten syn Czerwonej Maryny zabił Izabelę. Gdyby się jakie poszlaki znalazły! Mówiłam o tem adwokatowi. Przyrzekł zająć się tą sprawą. Tymczasem ufajmy w miłosierdzie Boże! Twoja kochająca cię, stęskniona za tobą matka“.

Już miała włożyć list do koperty, gdy wszedł Bertold.

— Proszę pani baronowej, co robić? Wyszedłem opatrzyć bramę, czy dobrze zamknięta, a tu pod bramą jakiś żebrak leży omdlały. Ledwie go się docuciłem. Nie może się utrzymać na nogach, posadziłem go na werandzie. Co z nim poczniemy?

— Trzeba się nim zająć. Przecież go nie zostawimy bez pomocy. Weźże starego wina Bertoldzie. Idę z tobą.

Baronowa się podniosła, by wyjść, gdy we drzwiach ukazała się wybladła postać człowieka, jakby tylko na pół żywego.

— To ten nieszczęśliwy — rzekł Bertold.

— Wszelki duch Pana Boga chwali – zawołała baronowa.

— I ja go chwalę — odezwał się przybyły słabym głosem. Umieram z głodu.

— To pan Sterneg!

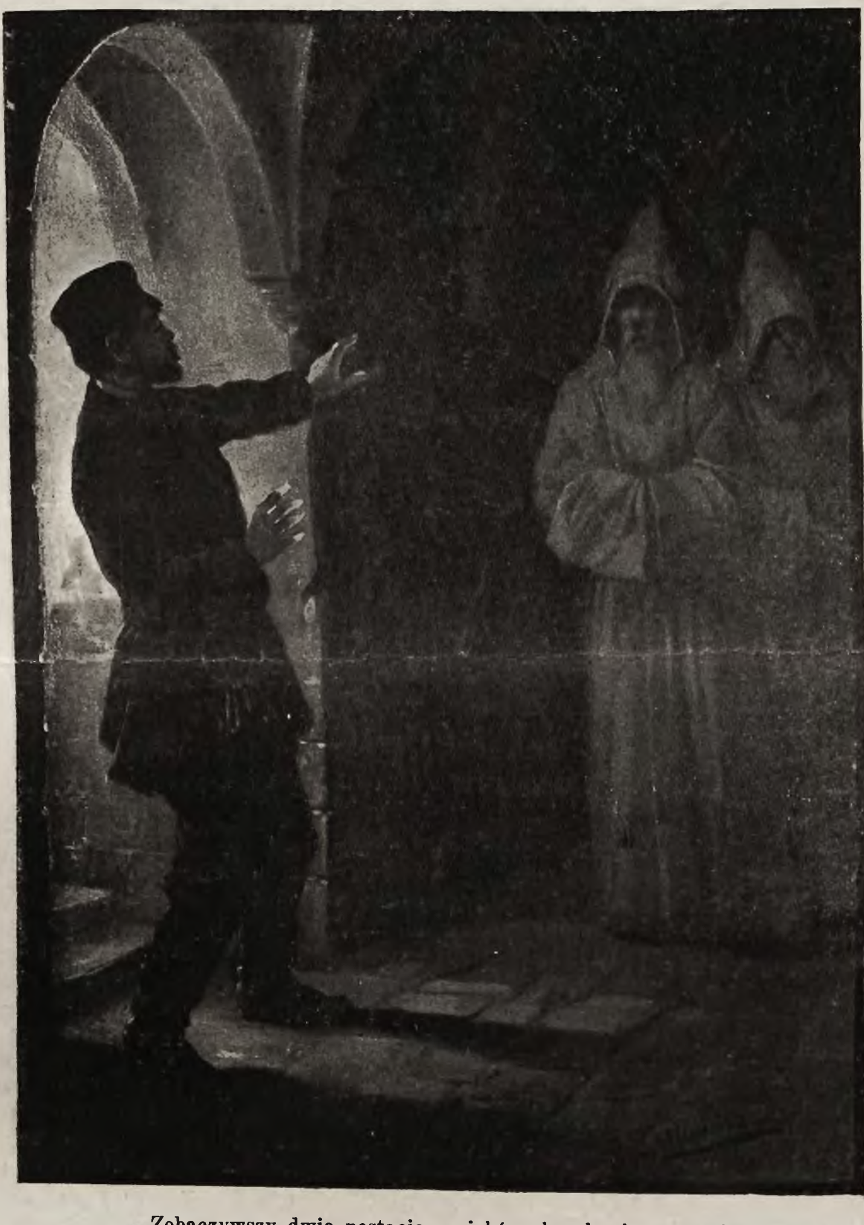
— Tak. Nie mów pani tak głośno. Mnie ścigają, jak zwierza w lesie. Lecz nikt nie wie o mnie, prócz pani i Bertolda.

— Boże! straszne! Dzięki Bogu! Pan żyje.

— Podobny do widma, nie do człowieka.

Zakrzątano się natychmiast. Sterneg pokrzepił się starem winem i znalazł serdeczną opiekę po tygodniu strasznej poniewierki po lasach, po tygodniu głodu, łagodzonego jagodami. Gdy już Sterneg zasnął w pokoju gościnnym, pod opieką Bertolda, baronowa dopisała do listu:

„Wyobraź sobie, co się ze mną działo, gdy niespodziewanie zjawił się nieszczęśliwy Sterneg. Sprawdziło się, co przeczuwałam, że się nie zabił. Znęcano się nad nim strasznie. Uciekł. Po różnych przygodach przybył do nas na pół żywy. Już było późno w nocy. Bertold poszedł opatrywać bramy; pod bramą leżał omdlały Sterneg. Opowiem ci o wszystkiem w następnym liście. Dziś wrażeń za wiele“.



...Zobaczywszy dwie postacie mnichów, krzyknął przeraźliwie...

Na tropie.

Taki gracz w intrygach, jak marszałek Wurm, o mało nie odchorował tego, że znalazł się sprytny i zuchwały człowiek, który go w intrydze prześcignął i na upokorzenie naraził. Upokorzenie było dotkliwe, ale dotkliwszą obawa, aby książę nie wysadził go z siodła u dworu. Wprawdzie miał za sobą nawyknienie panującego księcia do jego osoby, do jego usług, miał też i księżnę za sobą, miał sojusznika wcale potężnego w hrabiance Landesberg, ale myślał sobie, że na dwoje babka wróżyła. Wszakże i z tem wypadło mu się liczyć, że miłość rodzicielska dla księcia Ferdynanda nie zgasła, że następca tronu pierwej, czy później trafić może do serca ojcowskiego, że może porzuci Klarę i tem sobie zjedna rodziców — więc, więc – byłoby źle z marszałkiem. Młodzi nie lubią tych, co im w drogą wchodzą.

A jużby nie był chyba sobą samym, gdyby nie złowił sprytnego oszusta i nie pomścił się na nim. To też jeszcze tego samego dnia, po owej fatalnej rozmowie z księciem, pospieszył do dyrektora policyi i dając mu dokładny opis osoby Ludwika, polecił go szukać, jako osoby podejrzanej i niebezpiecznej.

Dyrektor policyi wziął sobie sprawę do serca, bo z marszałkiem dworu liczyć się było trzeba, zwłaszcza teraz, gdy książe panujący, marszałka wielkiem zaszczyca zaufaniem. Wybrał też najzdolniejszego komisarza i polecił mu nietylko ująć owego człowieka, ale też wpaść na trop jego dotychczasowego życia.

Jasnem było dla komisarza, że ów człowiek nie mógł się dostać do księcia, bez wiedzy książęcego kamerdynera, więc też najpierw tu zapuścił wędkę, aby pierwsze ślady wyłowić. Komisarz nie wezwał Łukasza urzędownie, ale użył zręcznego ajenta, który udając kandydata do służby książęcej, nasunął się Łukaszowi, z prośbą o protekcyę. Nie obeszło się przy tej sposobności, jak to zwykle bywa, bez traktamentu, na który ów kandydat do służby swego protektora zaprosił. Przy kieliszku rozgadał się Łukasz na tyle, że ajent dowiedział się, czego potrzebował.

Dnia następnego siedziała Czerwona Maryna w swej izbie i bawiła się zawijaniem złotych pieniędzy w przeróżne papierki, gdy usłyszała turkot przed domem. Wyjrzała przez okno, myśląc, że to Ludwik przyjechał. Ze zdziwieniem spostrzegła dwóch zupełnie obcych ludzi, których nigdy w życiu nie widziała. Namyślała się chwilę, czy wyjść do nich, czy też czekać, aż sami przyjdą. Przypatrzyła im się raz jeszcze, a zobaczywszy, że mają jakieś poczciwe twarze, wyszła do nich ośmielona.

— A czegóż to panowie chcecie? – zapytała.

— Chcemy się widzieć z panią właścicielką domu.

— A cóż za interes?

— Czy pani jest właścicielką domu?

— Tak panowie.

— Proszę nam pozwolić chwilę rozmowy.

— Proszę panów, proszę – odpowiedziała Maryna niechętnie, lękając się, czy to nie jaka nowa komisya sądowa.

Gdy weszli do izby – rzekł jeden z przybyłych:

— Jestem Rabenberg, kupiec, a to mój wspólnik. Może pani była kiedy w naszym handlu? na Królewskiej ulicy? duży handel korzenny. U nas kupują wszystkie panie właścicielki, z całej okolicy. Mam nieszczęście, żona moja chora, lekarze kazali przeprowadzić ją na wieś, na świeże powietrze. Chciałbym kupić dom, albo wynająć. Syn pani, pan Ludwik, mówił mi, że pani by ten dom chętnie sprzedała, gdyby kto dobrze zapłacił. Otóż chciałem się widzieć teraz z panem Ludwikiem, żeby mi pomógł w tej sprawie.

— Tu niema mojego syna – odpowiedziała Czerwona Maryna niechętnie. Skąd jemu się wzięło sprzedawanie domu? Widzicie! jeszcze co?

— Niechże się pani nie gniewa. Pan Ludwik mówił mi, że jemu ten dom niemiły od czasu, jak tu baron Adlersfeld zamordował panią Kronberg. Mówią też ludzie, że to nie baron.

Czerwona Maryna zakłopotała się widocznie, co nie uszło uwagi przybyłych.

— A tak, tak, to nieprzyjemne dla pani. Pani była taką wierną, dobrą, przywiązaną towarzyszką pani Kronberg. Rozumiem, jak to dla pani, a i dla syna musi być przykre, przebywać w tym domu, w którym zamordowano osobę kochaną. O, pan Ludwik ma dobre serce. On bywa w naszym handlu bardzo często, to bardzo miły i wesoły człowiek.

Czerwona Maryna udobruchała się i zaczęła sobie kombinować, że to wszystko może być prawda, że Ludwik chce dom sprzedać, skoro osiąść ma w dobrach Adlersfeld i do siebie matkę zabierze. Nawet zaczęła ją ta myśl powoli cieszyć, bo jej tu istotnie było nieprzyjemnie i strasznie. Przesunęło jej się prędko przez myśl, jak to będzie się rozsiadała w bogatych komnatach wspaniałego dworu. C. d. n



Fot. M. Münz Lwów.

Strzelnica lwowska: Zameczek myśliwski na Strzelnicy i pomnik króla Jana III. przed bramą wchodową.

Strzelnica lwowska.

Strzelnica lwowska! Pisząc te słowa nie mamy na myśli ludzi, to jest partyi politycznej, skupionej pod znakiem złotego kura, a biorącej żywy udział w rządach miasta, lecz uroczą miejscowość przy ulicy Kurkowej, gdzie na wzgórzach, sąsiadujących niemal z Łysą Górą i wyżynami Cesarskiego Lasku, zwanego po lwowsku „Kaiserwaldem“, wśród starych, potężnych lip, topoli i buków, w pięknym pałacyku myśliwskim, rozsiadło się bractwo strzeleckie.

Jedno z najmilszych ustroni, cel wycieczek i miejsce przechadzek wszystkich Lwowian, o tyle ma przewagę nad Parkiem Kilińskiego, Ogrodem Pojezuickim i Plantacyami Wysokiego Zamku, że w zimie nie zamiera tam życie, lecz owszem, wre, jeszcze potężniej, jak w lecie.

W myśliwskim bowiem zameczku, w którym od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni co niedzielę grzmią strzały i huczą oklaski na cześć celnych strzelców, należących do bractwa, a ubiegających się z początkiem sezonu o królestwo kurkowe, a z końcem o „sól i gęś“, w karnawałowej dobie brzmią raźno skrzypki i basy, a w hucznych mazurach wesoło przewijają się młode pary. Tu, na Strzelnicy, młode pokolenie mieszczaństwa lwowskiego szuka wytchnienia i wesołej zabawy w tanecznym szale, po całorocznych trudach i pracy.

Dla objawów towarzyskiego życia, mieszczaństwo lwowskie na Strzelnicy obrało sobie siedlisko. Gromadzą się tu starzy i młodzi, tu szukają wypoczynku i zabawy, czy to podczas festynów, urządzanych na dobroczynne cele, czy podczas przedstawień amatorskiego kółka Strzelnicy, czy też w „klubie kręgielnianym“, który przez cały boży rok funkcyonuje i skupia w swem łonie zarówno młodź, jak i poważnych obywateli.

Gdyby zabrakło Strzelnicy, mieszczański Lwów byłby w rozpaczy, bo straciłby to ognisko, przy którem zwykł się skupiać od wieków.

Powiadamy od wieków, bo Strzelnica ma swoją długoletnią historyę i odegrała już poważną rolę nietylko w życiu mieszczaństwa lwowskiego, ale i w życiu całego naszego kraju. Dość chyba wspomnieć, że podczas walk o teatr lwowski w początkach XIX stulecia, na tej Strzelnicy rozbił namioty Jan Nepomucen Kamiński wraz z swoją trupą w tak zwanym letnim teatrze! Z nowszych jej dziejów zanotować należy, że tu odbył się pierwszy zlot Sokolstwa polskiego, że u stóp pomnika Jana III. obrońcy chrześcijaństwa, który zdobi wejście do Strzelnicy, zawarło wieczny bratni sojusz polskie Sokolstwo z czeskiem i chorwackiem...

A pamiętne są także zakusy niemieckie do zapanowania i owładnięcia zarówno bractwem strzeleckiem, jak i Strzelnicą. Z tych walk o hegemonię mieszczaństwo lwowskie wyszło obronną ręką i Strzelnica, która miała w początkach zaboru austryackiego stać się rozsadnikiem niemczyzny, była w tych czasach właśnie ogniskiem polskości, myśli patryotycznych i wielkich porywów.

Te stare lipy, topole i buki, które dziś szumią na Strzelnicy, widziały niejedno i mogłyby wyśpiewać długą pieśń, czasem tryumfalną, czasem tęskną, do łez wzruszającą, o starej sadybie strzeleckiego bractwa i o mieszczaństwie lwowskiem, zszeregowanem pod znakiem złotego kura i białego orła, zdobiącego szczyt wieży myśliwskiego zameczku...

Niezwykłe igrzysko natury.

Natura – owa przysłowiowa symboliczna „matka“ wszech tworów ziemskich — ma jednak swoje złe kaprysy i nie zawsze sprawiedliwą bywa w uposażaniu swych dzieci. Podczas gdy na jednych zlewa wszystkie swe łaski i dobrodziejstwa w postaci urody, wdzięku i siły — upośledza inne swe dzieci w sposób obudzający litość lub czasem i śmiech nawet. Nie mówimy już o potwornej brzydocie, odrażających kalectwach z jakiemi u owych wydziedziczonych dzieci matki-przyrody się spotykamy. Mamy tu na myśli upośledzenia niezwyczajne, zdumienie po prostu wywołujące, z jakiemi od urodzenia ci najnieszczęśliwi z nieszczęśliwych na świat przychodzą. Przyrodzone owe kalectwa i potworności stają się niejednokrotnie dla dotkniętych niemi — bardzo dobrem źródłem zarobkowemi, gdy nieszczęśliwi ci przyjdą wreście do konkluzyi, że zamiast wzbudzać w swych bliźnich odrazę, śmiech lub politowanie — praktyczniej jest „pokazywać się“ im za pieniądze. Oddają się zatem w antrepryzę impresaryom i specyalnym przedsiębiorcom, którzy obwożą ich po całym świecie — robiąc zwykle na upośledzonych od losu kalekach, świetne interesa. Największą ilość tych „nienormalności“ i „potworności“ zgromdził słynny cyrk Barnuma i Bayle'a. Posiada o specyalny oddział w którym chciwy senzacyjnych wrażeń ludek, podziwiać może mikroskopijnych karłów i tytanicznej budowy olbrzymów, kobiety o męskim zaroście twarzy, ludzi o żelaznej skórze, psiej głowie — bliźnięta zrośnięte z sobą — wreście kaleki pozbawione od urodzenia rąk, nóg i t. p.

Ale i pojedynczo przeciągają przez świat potwory i potworki — wystawiając na widok publiczny swe okaleczenia.

Jednym z ciekawych okazów a raczej ofiar wybryku natury jest „pokazujący się“ obecnie we Lwowie człowiek bez nóg.

Wchodząc do sali szczególniejszych tych produkcyi — nie spostrzegamy na pierwszy rzut oka nic szczególnego. Widzimy tylko na estradzie ustawionego na specyalnym postumencie, manekina. Przypatrzywszy mu się bliżej jednak, poznajemy w nim żyjącego człowieka — człowieka bez nóg, któremu ów drewniany postument zastępuje dolne kończyny. Podchodzimy do estrady i rozpoczynamy z nim rozmowę. Kaleka przemawia cichym ale melodyjnym głosem. Nazywa on się Jan Teglovics, jest rodowitym węgrem, a liczy dziś lat 31. Prócz języka ojczystego włada jeszcze i kilku innymi, oprócz tego odznacza się wielką muzykalnością, czego dowiódł grając kilka ognistych czardaszów na podanej mu cytrze. Chorób nie przechodził za-



Niezwykłe igrzysko natury: Jan Teglovics, człowiek pozbawiony od urodzenia tułowia.



Z krwawych dni Moskwy i Petersburga: Wielki ks. Włodzimierz, komendant korpusu petersburskiego, który wojskiem stłumił krwawą rewolucyę w Petersburgu.

dnych w swojem życiu. Spożywa tylko bardzo lekkie i strawne pokarmy. Funkcye fizyologiczne załatwia w sposób sztuczny — drogą wypompowywania żołądka. Nieszczęśliwy kaleka, którego podobiznę w niniejszym numerze podajemy — ubrany jest w mundur i czapkę wojskową, a na ogół robi sympatyczne dosyć wrażenie.

Pamięci bohaterów styczniowego powstania.

Przygnieciony stopą tyrana naród, nie mogąc dłużej znieść gwałtów i samowoli, żądny swobodniejszego oddechu, tęskniący za wolną myślą podniósł w 63 roku oręż, by skruszyć kajdany, w które go przemoc wroga zakuła.

Popłynęła krew, zaroiły się sybirskie szlaki nowymi wygnańcami, rozległ się świst knutów, członkowie Rządu Narodowego pod drzewami szubienic na stokach cytadeli warszawskiej pożegnali się ze swojemi nadziejami i z narodem. Przemoc znów święciła tryumf nad pokonanymi.

Tak skończyło się ostatnie powstanie polskie, takie wyniki przyniosła krew przelana a chętnie ofiarowana na ołtarzach ojczyzny w obronie jej swobody i wolności.

Nadzieje, aby z bronią w ręku wywalczyć niepodległość ojczyzny, zniknęły bezpowrotnie, ale pamięć ojców naszych, którzy swe życie i mienie ofiarowali w tej walce nie zaginęła i pewnie póty nie zaginie, póki choć jedno serce polskie bić jeszcze będzie na tej ziemi.

Na cmentarzach Galicyi czernią się krzyże, wzniesione ku czci poległych w boju i zmarłych na szubienicach, lub wygnaniu dzielnych synów ojczyzny. Rok w rok, gdy nadejdzie pamiętny ów dzień wybuchu styczniowego powstania, cały naród święci ich pamięć uroczystymi obchodami w naszym kraju, korzystając ze swobody konstytucyjnej, a na ziemi gniecionej nogą tyrana, cichem wspomnieniem i łzą żalu wylaną ukradkiem...

...We Lwowie przy drodze Wuleckiej ujęta w ramę dwóch potężnych buków wznosi się mała kapliczka, na której w marmurowej płycie wykuto napis: „Panie wysłuchaj modlitwy nasze — 1863“. Przy tej kapliczce, poświęconej pamięci bohaterów ostatnich walk o niepodległość, a ufundowanej przez hrabiego Jerzego Dunin-Borkowskiego, lwowska młodzież akademicka i rękodzielnicza modli się za dusze ofiar styczniowego powstania.

I w tym roku, jak zwykle, młodzież lwowska i starsi obywatele podążyli zwartymi szeregami przed osamotniony, cichy zawsze przybytek pański. Zagrzmiały chóralne śpiewy, wzbiła się pod nieba błagalna pieśń „Przed twe ołtarze...“

Zmrok już zapadał, gdy żywa fala ludzi ruszyła do miasta, gdy opustoszał plac przed małą kapliczką na Wulce...

Z krwawych dni Moskwy i Petersburga.

Walka ludu i liberalnego mieszczaństwa rosyjskiego z gwałtami i bezprawiami autokracyi i czynownictwa, została doprowadzoną do najostrzejszych i najgwałtowniejszych form.

Lud i inteligencya występując z masowym protestem przeciw uciskowi spotkał się z najgwałtowniejszą i najstraszniejszą represyą ze strony rządu. W Moskwie kozacy i policya dopuszczali się zbrodni na demonstrujących studentach i robotnikach a rzeź jaką wyprawili, pociągnęła ze sobą setki ofiar. Szpitale były zapełnione rannymi a liczba poległych na ulicach powiększyła się wskutek śmierci wielu rannych. Całe społeczeństwo rosyjskie oburzone było tymi gwałtami i zbrodniami, jakich dopuścił się carat na demonstrantach, którzy, wyszli na ulicę upominać się o swe prawa.

Winę i odpowiedzialność za ten brutalny napad, ponosi całkowicie gubernator moskiewski wielki książe Sergiusz, stryj cara, który zalecił policyi i wojsku jak największą bezwzględność. Na Sergiusza wydała moskiewska organizacya socyalistów i rewolucyonistów wyrok śmierci. Zamach dokonany na niego, przez jednego ze studentów nie udał się — ale spodziewając się dalszych zamachów, w obawie przed śmiercią, Sergiusz podał się do dymisyi i ze stanowiska gubernatora ustąpił.

Wielki książe Sergiusz jest synem cara Aleksandra II i urodził się w r. 1857. Na stanowisku gubernatora Moskwy pozostaje od roku 1891.

Sprawcą najświeższych mordów petersburskich, jest znowu wielki książę Włodzimierz drugi stryj cara Mikołaja a brat Sergiusza. W wojnie rosyjsko-tureckiej dowodził on dwunastym korpusem armii. Postanowieniem cara Aleksandra III został mianowany regentem, na wypadek jego śmierci w zastępstwie za małoletniego następcy tronu. Od roku 1886 piastuje naczelną władzę nad siłami zbrojnemi korpusu petersburskiego. Na tem stanowisku pozostając posiadał w czasie rewolucyi w Petersburgu najwyższą władzę nad miastem i na jego głowę spadnie też kara i zemsta ludu za przelanie krwi tysięcy ludzi.

Pamiętne są jego słowa, że „nikogo nie oszczędzi i siłą spokój w stolicy przywróci!“ Dzięki jego barbarzyńskiej energii wojsko zwyciężyło lud, chcący się dostać przed pałac cesarski i potęga militarna w Rosyi święciła tryumfy w walce ze współobywatelami.

Krew przelana na ulicach Petersburga przypieczętowała szereg dawniejszych gwałtów, bezprawi i zbrodni caratu, a rząd autokratyczny stracił już zaufanie nawet najciemniejszych i najlojalniejszych warstw. Cała Rosya jest wstrząśnięta do głębi tem, co widział Petersburg dnia 21, 22 i 23 stycznia b. r. Że to dopiero początek krwawego dramatu — świadczą o tem rozruchy, wybuchłe w innych miastach Rosyi, a pożar z jednego miejsca rozszerza się szybko po całym kraju.



Z krwawych dni Moskwy i Petersburga: Wielki ks. Sergiusz, gubernator moskiewski, który w dniu 18 i 19 grudnia kazał wojsku strzelać do demonstrantów w Moskwie.



Fot. M. Münz. Lwów.

Pamięci bohaterów styczniowego powstania: Kapliczka przy drodze Wuleckiej we Lwowie, gdzie młodzież święci pamięć poległych w ostatnich walkach o niepodległość.

ZE ŚWIATA.

Ponad drobnym, miałkim, w ręku rozsypującym się piaskiem banalnych nowin kronikarskich i wyłaniających się z nich refleksyj, wzbija się obecnie potworna wizya rzezi i mordów, odzwierciadlana codziennie w telegraficznych wiadomościach, nadsyłanych dziennikom z Petersburga. Pomimo swych okropności, budzą one niekiedy wiarę i otuchę w lepszą przyszłość, niekiedy zaś zapowiadają nowy szereg bolesnych zawodów i rozczarowań. Jak cały świat, tak i Kraków zajmuje się niemi gorąco... goręcej nawet od całego świata, bo noszą — niby na szalach przeznaczeń — w chmurach burz i chłodnych zawiei, lecących z nad Newy, wieści o losach narodów, przykutych do państwowego organizmu Rosyi. Imperyum Romanowych, stoczone trądem zepsucia, szczepionym w ciągu wieków przez przedajną i nikczemną biurokracyę, skołatane wichurą wojny japońskiej, chwieje się i rozpada w gruzy, tak na Północy, jak na Południu, tak w Finlandyi, jak w Bessarabii. W ruinie jego nasza nadzieja! Wypadki mkną szybko — pędzą prędzej od rumaka legendowego rycerza-upiora. Wczoraj jeszcze lud rosyjski, pokorny, uległy i wierzący w sprawiedliwość „białego cara“, dążył — owładnięty mistycznym nastrojem, śpiewający hymny pobożne — ku monarszemu pałacowi w stolicy, aby prosić o zmiłowanie nad swym smutnym bytem, o wyzwolenie z twardego jarzma niewoli, gniotącego mu karki. Dziś też same tłumy „czarnoroboczych“ już wiedzą, że car, zastępca Boga na ziemi, jak pierwszy gorszy gubernator, szef żandarmów, „isprawnik“ lub pisarz kancelaryjny, stojący na najniższym szczeblu hierarchii policyjno-urzędniczej, niema dla nich litości, więc broniąc za pomocą Trepowów, żelaznych pęt i poświęconej obroży prawosławnego „samodierżawia“, musi w morzu krwi niewinnych topić żądzę dobra i swobody. Lud rosyjski spoglądał dotąd obojętnie na bezprawia i okrucieństwa, jakich dopuszczała się wierna carowi szajka siepaczy w ziemiach polskich. Popierał ją nawet poniekąd swym biernym lub czynnym współudziałem. Teraz, zdaje się, obluzgany krwią własną, przejrzał nagle. Czy błyskawiczne odzyskanie wzroku duszy wystarczy, by mu sumienie rozświetlić do głębi. Czas dopiero okaże. My czekajmy cierpliwie. Lud rosyjski jest młody, najmłodszy w rzeszy ludów europejskich. Cywilizacya wprawdzie nie uszlachetniła i nie wysubtelniła władz jego umysłowych, lecz zarazem nie rozstroiła w nim zdrowych nerwów. Jeśli więc czego pragnie, a zwłaszcza jeśli chce szczerze pragnienia swoje urzeczywistnić, jest dość silny, by — pomimo paszcz działowych, ziejących kartaczami i ostrzy bagnetów — złamać potęgę caratu i wywalczyć wolność dla siebie i drugich. Wszakże my walczyliśmy już za jego wolność!

Młodość stwarzała i dotąd jeszcze „stwarza cuda“, o ile nie rządzi się egoizmem i nie poddaje wmawianej w młodzież dzisiejszą chorobie wieku, neurastenii... zwłaszcza, gdy serca swoje, głowy i ręce chce poświęcać i poświęca pracy, przynoszącej zysk społeczny. „Do młodych przyszłość należy“ — powtarzamy wszyscy z przekonaniem; chodzi tylko, by zdobywając dla siebie całą „przyszłość“, skrawek przynajmniej „teraźniejszości“ pozostawiali starszym, którzy przed nimi, w dalszej lub bliższej „przeszłości“, dla spraw i rzeczy ojczystych położyli zasługi. Tymczasem najczęściej dzieje się u nas inaczej. W ostatnich nawet czasach patrzyliśmy na kilka przykrych dowodów pominięcia zasłużonych, którym za długoletnią uczciwą i sumienną działalność na różnych niwach pracy narodowej (obywatelskiej, literackiej, naukowej lub artystycznej) należała się, osierocona przez śmierć czyjąś, jedna i druga synekura. Zdmuchnęli je im z przed nosa „najmłodsi“, nie odznaczający się ani wysokim talentem, ani specyalną wiedzą, ani dziełami i czynami, zapisującymi nazwiska śmiertelnych na kartach księgi, regestrującej wdzięczność i uznanie ogółu. Czem się to tłómaczy? Chorobliwą suggestyą, która od pewnego czasu grasuje w mieście naszem wszechwładnie i narzuca — wbrew kulturze i rozsądkowi — cześć dla rozmaitych mierności, wyniesionych przez reklamę nad poziom. Lubimy naśladować obcych, a jednak nigdy nie naśladujemy dawanych nam przez nich dobrych przykładów, chociaż w kwestyi tu dyskretnie poruszonej, nieźleby było pójść za przykładem choćby najbliższych nam Czechów, niezmiernie praktycznie urządzających się w rzeczach życiowo-narodowych, a przedewszystkiem w tych, które w narodowem „ciele utrzymują życie i o życiu dają znak“. Oni, do wszelakich swych instytucyj prywatnych i publicznych na stanowiska, wymagające reprezentacyi i względnie czynnego zajęcia, nie zaś wytężonej, młodzieńczej pracy, wprowadzają weteranów zasługi, którzy opromieniając daną instytucyę blaskiem swej minionej działalności, znajdują w niej środki, ułatwiające im istnienie. Obie strony wychodzą na tem dobrze, a połeczeństwo odnosi zysk niezaprzeczony. U nas — jak powiedzieliśmy wyżej — dzieje się zupełnie inaczej. Młodzieniec zdrów i silny, który nie powinien udawać neurastenika, lecz obowiązany jest walczyć z życiem i w walce krzepić ducha, wolę i talent (jeśli go posiada), dzięki sugestywnej protekcyi otrzymuje pozycyę, która go rozleniwia i czyni wkrótce bezużytecznym, gdy człowiek starszy, który dla ogółu stargał siły, mozoli się dalej w niedostatku, a czasem i w nędzy, nie przynosząc korzyści, jaką mógłby przynieść resztą swojej energii, zdolności i przymiotów, gdyby społeczeństwo zapewniło mu podstawę bytu materyalnego. Rozejrzyjmy się po krakowskich zakładach i instytucyach, a przekonamy się, że na czele niektórych stoją od niedawna ludzie bardzo młodzi. Czy wszyscy mogą wykazać się zasługami i kwalifikacyami, jakich stanowisko wymaga? Czy wszyscy pracują pożytecznie?... Ba! odpowiedź na te pytania zaprowadziłaby nas za daleko, w dziedzinę rekryminacyj, nie mających nic wspólnego z ogólnem, zasadniczem ujęciem kwestyi... więc zwracamy się ku innej aktualnej sprawie, wprawdzie przeważnie warszawskiej, lecz poniekąd wszechludzkiej, zatem i krakowskiej. Fakt tragiczny, który ją wymownie uplastycznił, omówiły już „Nowości“ w poprzednim numerze, ilustrując swe omówienie udatną ryciną, nam więc nic więcej nie pozostaje, jak ze smutnego zdarzenia wyciągnąć pewien wniosek, odnoszący się do naszych stosunków lokalnych.

Nieszczęśliwa śmierć utalentowanego malarza, Wacława Pawliszaka, wywołała zwierzęce rozpasanie złych instynktów w pośród reporterów warszawskich. Z krwawego i bolesnego dramatu wyciągnęli sam sensacyjny tylko materyał, łechcący ciekawość szerokiej publiczności. Zamiast uspokajać, rozdrażniali namiętności i osobiste zawiści podsycali je i jątrzyli codziennie dla zabawy bezmyślnych czytelników. Na szczęście znalazł się człowiek poważny i prawy, ceniony publicysta, Władysław Jabłonowski, który odważnie i szlachetnie wystąpił przeciw hecy, piętnując jej haniebne objawy surowem potępieniem. Słowa jego, pomieszczone w „Kuryerze Warszawskim“, powtarzamy w wiernem, chociaż skróconem brzmieniu, sądzimy bowiem, że i u nas odbić się muszą dobroczynnem echem. „Szanowny Panie Redaktorze — pisze on — racz dać w swem piśmie wyraz oburzeniu, które musi ogarniać każdego uczciwego człowieka na widok tych wstrętnych harców, jakich areną był pewien odłam prasy warszawskiej, bezpośrednio po tragicznem zajściu pomiędzy p. Dunikowskim a ś. p. Pawliszakiem. Podniecona sensacyą reporterya, zamiast ograniczyć się na prostym a ściśle objektywnym opisie faktu, wkracza na teren zgoła jej obcy, a wzbroniony przez prawo i poczucie moralne. Oto pozwala sobie na formalne akty oskarżenia, albo harce adwokackie. Broniąc jednej ze stron, przeprowadza *quasi*-śledztwo (t. j. powtarza najpotworniejsze i najgłupsze plotki), przytacza całe szeregi fałszywych szczegółów, przewiduje i uprzedza wyrok sądu, posługując się przytem na chybił trafił całą rewolwerową terminologią: zabójstwo, morderstwo, zamach i t. p. Kto ma prawo oddziaływać w ten sposób na opinię publiczną? Co myślą sobie pp. redaktorowie, pozwalając na podobny kankan wobec głębokiego dramatu życiowego, który się przed chwilą rozegrał. Czy nie istnieją żadne względy moralne, które winny powstrzymać tę tragikomedyę, niewiadomo czyją ręką reżyserowaną? Jak można nie rozumieć, że wynikiem zajścia były dwa nieszczęścia, dwie ofiary — zasługujące obie na współczucie: Pawliszak człowiek chory, że nie miał przyjaciół, którzyby go uspokoili, wysłali na wieś, albo gdzie za granicę, słowem otoczyli opieką i zabezpieczyli od katastrofy, która w takich albo innych okolicznościach nie trudną była do przewidzenia — p. Dunikowski, że znalazł się w tragicznej konieczności użycia broni względem człowieka, którego prawie nie znał i nie miał żadnego powodu do nienawiści“. Wł. Jabłonowski kończy wypowiedzeniem przekonania, że winowajcami nie są bynajmniej aktorowie dramatu, lecz ich otoczenie. Cała treść listu i jego argumentacya jest rozumna i uczciwa, dlatego też powinna zwrócić na siebie uwagę naczelnych kierowników naszych miejscowych pięciu gazet, którzy często przeoczać zwykli materyał, dostarczany im przez reporterów. Ci ostatni zaś, na wzór warszawskich, prześcigają się w wydobywaniu sensacyjnych wieści, choćby nosiły na sobie znamiona plotki albo oszczerstwa. Sięgają do najtajniejszych głębi prywatnego życia, omawiają sprawy niezbadane i nieosądzone, chociaż to (jak stwierdza list przytoczony) wzbronione jest przez prawo i poczucie etyczne. Taką działalnością nie przysparzają dziennikom materyalnych korzyści, moralnie zaś je kompromitują, siejąc równocześnie w pośród społeczeństwa zdziczenie i rozstrój. Wprawdzie i w stolicach europejskich pewne odłamy prasy codziennej karmią czytelników trucizną sensacyi, lecz to, co społeczeństwom obcym wolno, nam nie wolno. Za słabi jesteśmy duchem i ciałem, aby pozwalać sobie na zagraniczne zbytki.

Przejdźmy obecnie w pogodną dziedzinę sztuki, której godną rezydencyą polską ma być Kraków, chociaż jak dotąd i on niestety, pomimo widocznego od lat paru podniesienia poziomu dobrego smaku, nie umie jeszcze skutecznie popierać jej rozwoju, nie ocenia bowiem należycie znaczenia takiego poparcia, które, gdyby było szczere, gorące i rzeczywiste, przynieść by mu musiało znakomite korzyści materyalne. Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, zamknąwszy swą bogatą wystawę jubileuszową, otworzyło nową, poświęconą zbiorowym dziełom kilku wybitnych artystów. Salę środkową zapełniły liczne utwory pędzla Józefa Krzesza, świadczące o jego niezmordowanej pracy w przeróżnych kierunkach, a szczególnie portretowym. W komnacie bocznej, w której mieściła się niedawno ekspozytura stowarzyszenia „Sztuka“, pokryły się ściany impresyjnymi krajobrazami, głowami i figurami Stanisława Wyspiańskiego. Dyszą one wszystkie właściwą mu poezyą. Pejzaże szczególnie podobały się powszechnie, równie znawcom, jak i profanom, chociaż ujęcie rysunkowe niektórych twarzy, ucharakteryzowanych scenicznie, posiada taką niezwykłą siłę tragicznej ekspresyi, że zatrzymawszy się przed niemi, trudno oczu od nich oderwać. Fizyognomie, węglem kreślonych „bohaterów“ Wyspiańskiego, ryją się na długo w pamięci widza. W trzeciej sali spotykamy bardzo ciekawy zbiór prac malarskich Trembacza, który pomimo różniącej się wielce od krakowskiej sobie właściwej maniery twórczej i technicznej, interesuje zwiedzających wystawę. W przejściu, między jedną salą a drugą, zwracają na siebie uwagę dwa prześliczne pejzaże Fałata i kilka obrazów, artystów należących do młodej generacyi. — W kronikarskiej wzmiance o sztuce u nas, nie podobna pominąć milczeniem świeżo otwartego przy ulicy Brackiej salonu „Ars“, który — pomimo, że wyznaczył sobie skromniejszą część zadania w krzewieniu lubownictwa malarstwa i rzeźby, oparłego na ożywieniu ruchu sprzedawczego w Krakowie — zadziwia bardzo szczęśliwem utrzymaniem dzieł gromadzonych nieustannie, na istotnie artystycznym poziomie. Znajdujemy tu obrazy przeważnie mniejsze (chociaż wcale dużych płócien nie braknie także), tak zwane „amatorskie“, kolekcyjne, służące do przyozdabiania mieszkań zamożnych i mniej zamożnych ludzi, ceny bowiem są bardzo przystępne. Niemal wszystkie mają na sobie piętna prawdziwego talentu: wytrzymują nawet surową krytykę. Zwiedzając przed paru dniami po raz pierwszy skromny, lecz ładny lokal „Ars“, spotkaliśmy się tam z utworami takich mistrzów, jak: Jan Matejko, Juliusz Kossak, Kazimierz Pochwalski, Franciszek Krudowski, Kotsis, Axentowicz, Boznańska, Fałat, Mehoffer, Stanisławski, Wyczółkowski, Wyspiański, Laszczka, oraz z bardzo niepospolitemi pracami młodych i najmłodszych: Józefa Czajkowskiego, Januszewskiego, Edwarda Okunia, Miskyego, Machalskiego, Podgórskiego, Filipkiewicza, Szczyglińskiego, Kuczborskiego, Karczewskiego i wielu innych. Atrakcyę chwili stanowi obraz Wacława Pawliszaka, przedstawiający modlącego się tatara krymskiego. Jest to dzieło rzeczywiście bardzo cenne, ładnie skomponowane i z talentem malowane, należące do najlepszego momentu twórczości przed kilkunastu dniami zmarłego artysty. Słowem całość „salonu“, jakkolwiek zebrana w celach handlowych, stoi wyżej od niejednej ekspozycyi zagranicznej, silnie reklamowanej, a nosić mającej na sobie ściśle artystyczny charakter.

Zaczęliśmy kronikę dzisiejszą od wypadków rosyjskich, wstrząsających swemi wzruszającemi wrażeniami cały świat cywilizowany. Wpływ ich oddziaływa obecnie na ziemie polskie, przybierając w nich wyłącznie znamiona rewolucyi socyalnej. Wszystkie fabryki w Warszawie, Łodzi, Zgierzu, Częstochowie — stoją zamknięte. Robotnicy strejkują i manifestują; starcia z wojskiem i policyą powtarzają się nieustannie; krew płynie po brukach ulic... Biegu zdarzeń, zależnych od wyższej woli dziejowych przeznaczeń, żadna moc ludzka powstrzymać nie jest zdolna. Czekajmy...

Verax.

Krwawy dramat na Wschodzie, który się zaczął przed rokiem, nie ma żadnych widoków rychłego zakończenia.

Port Artura został zdobyty, około 50.000 żołnierzy poświęciła jedna i druga strona w tym krwawym kilkumiesięcznym zapasie, który miał rozstrzygnąć o potędze i znaczeniu Rosyi na Oceanie Spokojnym. Cały świat patrzał na te nadludzkie wysiłki oblegających i na bohaterskie męstwo żołnierzy portarturskich, broniących się w niedostatku, nędzy i we wściekłej rozpaczy, do jakiej może dojść człowiek, którego wszystkie chwile życia są policzone.

Żołnierze walczyli do ostatniego tchu, a idąc w bój, szli na pewną śmierć. Z czasów jeszcze zapewne lepszych przedstawia nam rycina obok zamieszczona scenę w kawiarni portarturskiej. Oto wpada granat armatni przez powałę do wnętrza, raniąc zebranych oficerów, którzy przy szklanicy przepędzali wolne chwile od walki. Niespodziewana przeszkoda uniemożliwia rozrywkę, gdyż czujny nieprzyjaciel nie pozwala schodzić z fortów i granie armat wzywa spragnionych zapewne odpoczynku do porzucenia kawiarni i stawienia się na swych placówkach.

Straszną klęskę poniosła Rosya, tracąc Port Artura — i to chyba na zawsze! Uroczyście przy dźwiękach muzyk pułkowych wkroczyła armia oblężnicza do zdobytej twierdzy w dniu 13 stycznia, a żołnierze spoglądali ze wzruszeniem na rozpostarte nad ich głowami zwycięskie sztandary, poplamione od krwi i poszarpane od kul.

I mogli spoglądać ze wzruszeniem, mogli z dumą i tryumfalnie wkraczać do zdobytego miasta, bo każda piędź ziemi została ich krwawicą okupioną i zasłaną dziesiątkami trupów. Żmudna, w piekielnym ogniu dział toczona walka o każdy fort, którego zdobycie kosztowało tysiące ofiar, uprawniała ich do jak najwspanialszego święcenia tryumfu.

Jednym z ostatnich fortów, który dostał się w ręce Japończyków, był fort Erlungszan.

Po mozolnych przygotowaniach, prowadzonych przez inżynierów, po wykopaniu fos i rowów, którymi zbliżają się atakujący do fortu, po ukończeniu wszystkich innych prac przygotowawczych, wyruszyli Japończycy do szturmu. Walka, jaka się wywiązała koło tego fortu, była jedną z najkrwawszych.

Armaty rosyjskie ziały straszliwym ogniem, który powalał i niszczył całe kolumny Japończyków, posuwających się mimo to naprzód. Przyszło do walki zbliska.

Rosyanie bronili się z bezwzględną zaciętością, jaką spotyka się u człowieka, któremu śmierć zagląda w oczy. Był to z ich strony ostatni wysiłek, po którym nastąpiła kapitulacya twierdzy.



Z wojny ros.-jap.: Granat armatni wpada do kawiarni w Porcie Artura, gdzie się zabawiali oficerowie rosyjscy.



Z wojny ros.-jap.: Oficer rosyjski składa przed pułkownikiem sprawozdanie z wycieczki wywiadowczej.

Wokoło fortu i na jego wałach leżeli w śmiertelnym uścisku obok siebie żołnierze japońscy i rosyjscy, a widok był straszny i przejmujący zgrozą. Tysiące młodzieży złożyło swe życie na stokach tej twierdzy, skutki wojny nie ograniczają się na tem. Ci, których śmierć minęła pod twierdzą, może padną gdzieindziej.

Japończycy po zdobyciu twierdzy jęli się szybko oczyszczania miasta z trupów i ruin, a inżynierya rozpoczęła natychmiast prace około ufortyfikowania twierdzy i portu. Roboty potrwają prawdopodobnie przez dłuższy czas i będą miały na celu stworzenie z twierdzy punktu obronnego, o który mogliby się oprzeć Japończycy na wypadek klęsk w Mandżuryi. Mając zabezpieczone tyły, to jest mając całkowitą przewagę na morzu, mogliby się bronić w twierdzy całe lata, bo w warunkach daleko dogodniejszych, niż musiał to czynić Stoessel.

Również do wyciągania zatopionych okrętów zabrali się Japończycy ogromnie gorliwie. Inżynierowie japońscy stwierdzili, że okręty te będą mogły, po dokonaniu licznych napraw, zostać wcielonymi do floty japońskiej i w ten sposób potęga Japonii na morzu zyska nowe siły i liczebnie się powiększy. Armia oblężnicza generała Noghi, odpocząwszy zaledwo parę dni, podążyła na północ z pomocą marszałkowi Oyamie, mającemu rozpocząć po otrzymaniu tych posiłków akcyę zaczepną przeciw Kuropatkinowi. Dzielny marszałek



Z wojny ros.-jap.: Atak Japończyków na fort Erlungszan: Chwila najgroźniejsza, kiedy Japończycy wysuwają się z fos, by przejść do szturmu na fort.

dał po walce nad Szaho przez kilka tygodni dłuższe wytchnienie swej armii, a obecnie w ciszy i tajemnicy przed światem knuje jakiś zamach, mający być ostatecznym i dobrze wymierzonym ciosem dla armii rosyjskiej.

Od dłuższego czasu stojące naprzeciwko siebie armie nieprzyjacielskie, milczą i spoczywają. Wprawdzie dochodzą nas jakieś niepewne wieści o prze suwaniu się sił japońskich, wprawdzie od czasu do czasu zaczynają grać armaty rosyjskie, ale to prawdopodobnie dlatego tylko, żeby lufy nie pozamarzały, a Moskale nie zapomnieli, z której strony się je nabija.

Wszyscy wyczekują nowej bitwy walnej, którą rozpoczną napewno Japończycy, jak tylko otrzymają jadące z pod Portu Artura ciężkie działa, a które im zapewnią przewagę artyleryjską nad armią rosyjską.

Walka podjazdowa, walka patroli wywiadowczych, ma miejsce prawie codzień, gdyż jednej i drugiej stronie zależy na poznaniu rozkładu sił i przejrzeniu wzajemnie planów akcyi.

Obok zamieszczona rycina przedstawia powrót patroli z wycieczki wywiadowczej.

Musiało przyjść do starcia z nieprzyjacielem, gdyż jeden z żołnierzy wraca oparty o ramię swego towarzysza, drugi w poszarpanej odzieży, a sam „praporszczyk“ z przewiązaną głową. Pułkownik słucha relacyj oficera i prawdopodobnie wiadomości przyniesione są dość ważne, gdyż zmarszczył i nachmurzył brwi, a oczy badawczo wpił w twarz opowiadającego oficera.

Leżące obok szczątki zniszczonego działa wskazują, że jest to patrol armii głównej, obozującej nad rzeką Szaho, nad którą toczono ostatnie zacięte boje z armią japońską.

Rozstrzygająca walka, której oczekujemy lada dzień, będzie prowadzoną w wyjątkowych warunkach. Przeciwko sobie staną dwie olbrzymie armie. Blisko milion ludzi będzie walczyło ze sobą na śmierć i życie, a bój to będzie najkrwawszy i najstraszniejszy ze wszyskich dotychczas stoczonych.

Forsownie, mimo niekorzystnych zimą warunków, transportuje Rosya coraz to nowe pułki na daleki Wschód, chcąc masą i setkami tysięcy żołdactwa zgnieść „małych“ Japończyków.

Ale, o ile dodamy, że nastrój tej milionowej armii rosyjskiej jest jak najgorszy — to nie będziemy potrzebowali rozpaczać, że marszałek Oyama może zostać pobitym. Przedewszystkiem ciąży jak zmora na armii Kuropatkina tradycya ciągłego cofania się — a co my mniej obrazowo i poetycznie nazywamy: zbieraniem ciegów.

Wojsko, które przed każdą bitwą jest podobno zawsze wybornie usposobione i rwie się do walki z nieprzyjacielem tak, że oficerowie żołnierzy nie mogą utrzymać w szeregach, tak szybko traci tego ducha, skoro się tylko spotka z Japończykami, iż ucieka szybciej, niż na to pozwala rozkaz o cofaniu się w porządku.

Żołnierze zaś czują się najwyborniej, o ile najszybciej wydostaną się poza obręb, w którym świszczą kule, a że Kuropatkin ze względu na to, iż jako najwyższa osoba, której zdolnościom powierzono przyszłość i sławę Rosyi, nie może się zbytnio narażać na niebezpieczeństwa i przebywa tylko w reunionie, w którym i żołnierze najlepiej się czują, więc nic dziwnego, że każdy telegram do cara zawiera tylko potwierdzenie wybornego usposobienia... w pierwszym rzędzie samego Kuropatkina, no i całego wojska, którego obowiązkiem jest dostrajać się do usposobienia wodza.



Z wojny ros.-jap.: Marszałek wojsk japońskich Oyama z żoną.

Ponadto intendantura rosyjska, o której złodziejskich zdolnościach głośno mówią nie tylko w Rosyi, ale i za granicą, niewątpliwie w silnym stopniu przyczynia się do dezorganizacyi armii. Nieodziani ciepło i nieodżywiani należycie żołnierze, wiedzą komu zawdzięczają swą nędzę i przy ogólnej depresyi i przygnębieniu i ten wzgląd zaważy niemało na szali wojny. Dla uspokojenia opinii publicznej w Rosyi, oburzonej złodziejstwami w wojsku, rozegrała się między Kuropatkinem a ministrem wojny Sacharowem następująca komedya: Sacharow zażądał od Kuropatkina raportu, czy żołnierze nie odczuwają jakichś braków. Ma się rozumieć, że wódz według zwykłej modły odpowiedział, iż wszystko jest w „wybornym“ stanie. A tłómacząc, skąd powstają wersye o niezaopatrzeniu żołnierzów, mówi, że wojsko na tyłach armii przepija kożuchy — i stąd powstają skargi na brak ciepłej odzieży. Całe to wyjaśnienie jest nadzwyczaj charakterystycznem dla Rosyi — okazuje się, że nie tylko kradną zawiadowcy intendantury wojskowej — a kradną po to, żeby pić, ale i wojsko idzie w ślad starszyzny i za gorzałkę oddaje „kazionne“ kożuszyny.

Wiadomo wszystkim, że upadek Portu Artura skomplikował wypadki na Wschodzie jeszcze bardziej. O ile armia Kuropatkina w swej akcyi dotychczas miała pewną, jasno wytkniętą podstawę działania: iść z odsieczą twierdzy, to obecnie straciła ona tę podstawę. Obecnie wojna albo będzie przez Rosyę prowadzoną z wysiłkiem tak wielkim, że powetuje ona wszystkie swoje dotychczasowe straty — albo po najbliższej klęsce zostanie zawartym pokój. Pokoju tego domaga się rozsądek, domaga się lud rosyjski. Wysławianie i narażanie na niebezpieczeństwo śmierci, coraz to nowych tysięcy — jest zbrodnią straszną dzisiejszego rządu, przeciw któremu cały naród rosyjski się burzy. Zniszczoną została jedna flota; wysłano drugą, która czeka obecnie na wodach indyjskich, bo naprawdę niema po co jechać dalej, skoro podstawa jej działania: Port Artur upadł.

Przygnębienie w armii z konieczności pod wpływem ostatnich wypadków musi być rozpaczliwe. Każdy żołnierz rozumie i odczuwa to, że każda bitwa jest tylko ambitnem parciem i rzucaniem przez Kuropatkina wojsk po to, by przynajmniej choć po części zrehabilitować się przed oczami Europy i zmyć hańbę tylokrotnych klęsk. Jest pewnem, że Rosya zawarłaby pokój, gdyby przynajmniej choć w jakiejś większej potyczce czy walce odniosła choćby nieznaczny sukces. A ostatnie wypadki zwiastują coś wręcz przeciwnego



Z wojny ros.-jap.: Oficer rosyjski wręcza Kuropatkinowi kartkę. z zawiadomieniem o kapitulacyi twierdzy Portu Artura, która wpadła z granatem do obozu rosyjskiego.

Naprzeciw siebie stoją armie, jedna upojona zwycięstwem i zdobyciem przez generała Noghi Port-Artura, a druga pod wrażeniem upadku tej twierdzy. Wrażenie to musiało być wstrząsające i wstrząsnąć wiarą nawet najsilniej dotychczas w zwycięstwo wierzących.

W ciekawy sposób zawiadomieni zostali Rosyanie o zdobyciu Portu Artura. Oto, skoro wiadomość ta przyszła do obozu marszałka Oyamy, Japończycy ze śpiewami radosnymi i z orkiestrami pułkowemi obchodzili cały obóz. Rosyanie nie rozumieli, co znaczą te objawy radości, te śpiewy i muzyki w obozie japońskim. Poruszył się cały obóz, sam Kuropatkin niecierpliwie objeżdżał różne placówki, aż tu nagle wpada do obozu rosyjskiego granat, a w nim kartka z następującym napisem: „Zawiadamiamy Panów o kapitulacyi Portu Artura. Armia japońska“.

Wkrótce nadjechał sam Kuropatkin (patrz na rycinę), wokoło zebrała się liczna gromada oficerów, a jeden z nich wręczył wodzowi kartkę, znalezioną przy granacie. Wrażenie było wstrząsające. Marsowate oblicza okryły się zmarszczką i można z nich było wyczytać, że zwątpienie wciska się z dniem każdym do duszy coraz gwałtowniej. Wokoło zaczęli się cisnąć żołnierze, ale rada oficerska postanowiła na razie przed wojskiem wiadomość tę zatrzymać w tajemnicy.

Rycina nasza przedstawia chwilę wręczania kartki z granatu Kuropatkinowi.

* * *

W Rosyi prasa wszystkich odcieni omawia obszernie ostatnie wypadki na wojnie i sytuacyę polityczną. Klęski Rosyi oficyalnej ośmieliły prasę, która w ostrych słowach krytykuje wojnę i dość śmiało zaczyna podnosić potrzebę położenia kresu wojnie. Coraz częściej podnoszą się w organach prasy rosyjskiej głosy poważne, które w każdym razie wpływają na urabianie się opinii wojnie i prowadzącemu ją rządowi nieprzychylnej.

Nie może to być rzeczą obojętną dla rządu, gdyż niepopularność wojny, będącej nieszczęściem, podkopuje zarazem powagę władzy, która z konieczności musi zduszać wszelką krytykę i choćby krwawo tłumić niezadowolenie.

Jest rzeczą zaś pewną, że niezadowolenie musi wzrastać, gdyż każdy dzień jest nową klęską i każdy dzień może przynieść nowy, równający się klęsce, ukaz carski zmobilizowania nowych powiatów i wysłania ich na rzeź! To też mimo chwilowej „wiosny“, która się dała odczuć w rosyjskim świecie dziennikarskim, ogromna ilość dzienników, pism tygodniowych i miesięczników otrzymały ostre upomnienia; odebrano niektórym pismom prawo kolportaży a inne zamknięto. W ten sposób uciął carat łeb jednej chydrze — ale, że on odrośnie, nikt nie wątpi.

Nawet pisma o szowinistyczno-narodowym zabarwieniu nie mogły nie podnieść protestu przeciw taktyce dzisiejszego rządu i pod płaszczykiem delikatnie podawanych rad, rozpoczynają krytykować!

Rosyjska prasa pod wrażeniem upadku Portu Artura wyraża obawę, że z puszczeniem lodów Japończycy zaatakują Władywostok i tam zwrócą działalność swej floty. Przypuszczają dalej, że Japonia pokusi się o zajęcie Sachalina i Kamczatki, do których obrony przeznaczono tylko ochotników z pośród zesłanych tu przestępców politycznych. Znajdujące się tam garnizony są tak szczupłe, że nie wystarczą do odparcia najścia Japończyków, na których łaskę i niełaskę oba te kraje zostaną narażone. Gazeta „Nowoje Wremia“ nawołuje rząd do jak najrychlejszego zabezpieczenia tych zagrożonych pozycyj.

Obawa co do dalszych wyników wojny udziela się dziś już nawet tym dziennikom, które przed niedawnym jeszcze czasem przemawiały za jej prowadzeniem w imię narodowej godności. Obawa ta udziela się obecnie przerażająco wszystkim, a wyrosła ona na gruncie tych milionowych strat i wydatków, jakie dotychczas wojna pochłonęła.

Przyjrzyjmy się pokrótce zestawieniu strat rosyjskich.

Na początku wojny eskadra Portu Artura posiadała 50 flag; z tego zatopiono dotychczas 6 wielkich pancerników, 5 krążowników, 2 małe krążowniki, 2 transporty minerskie, 6 kanonierek oraz 16 torpedowców; rozbrojeniu uległo: 1 pancernik, 2 krążowniki, 1 kanonierka i 8 torpedowców, nadto Japończycy zabrali 1 torpedowiec.

Wartość tej floty przedstawia się następująco: pancerniki posiadały wartość 70 milionów rubli, krążowniki 35 milionów rubli, małe krążowniki 3 miliony rubli, kanonierki i torpedowce obliczają na 15 milionów rubli. Wliczywszy do tego zatopiony przez Japończyków władywostocki pancernik „Ruryk“ wartości 10 milionów rubli — to straty w okrętach wyniosą 133 milionów rubli. Straty w ludziach są ogromne — lecz wobec niepewnych danych z jednej i drugiej strony, bliżej je określić jest nadzwyczaj trudno.

Dodamy tylko, że Japończycy stracili przez cały ciąg wojny morskiej 6 statków i kilka torpedowców, wartości około 25 milionów rubli.

O ile straty Japończyków w morskich bitwach pod Portem Artura, są w porównaniu z rosyjskiemi wprost nieznaczne — to stosunek strat lądowych, poniesionych na półwyspie kwantujskim, a więc i w bitwie pod Kinczau i w bitwach około samej twierdzy Portu Artura, jest wprost odwrotnym. Tu walczyły po stronie japońskiej pierwsza, dziewiąta, jedenasta i siódma dywizya liniowa, a ze strony Rosyan 3 korpus wschodnio-syberyjski. Nadto walczyły po obu stronach artylerye forteczne i oblężnicze oraz wysadzone na ląd załogi morskie.

Straty japońskie według obliczeń pism wojskowych w Europie za $10^1/_2$ miesięcy walk są następujące: pod Kinczau w maju 4200 żołnierzy, na górach w lipcu przed oblężeniem fortecy 6200, podczas ataków sierpniowych na góry przedforteczne 4900, ataki wrześniowe na też góry około 5500, zajęcie stoków fortecznych w październiku 6500, szturmy fortów północnych i góry Wysokiej w listopadzie 8000, wreszcie szturm generalny w grudniu 6000 — razem więc zdobycie Kwanzabitych i rannych (w tem około 900 oficerów). tumu z Portem Artura kosztowało 41.300 ludzi Zapewne cyfry te są większe.

Ze strony rosyjskiej straty są ilościowo znaczne, ale jakościowo mniejsze. Wprawdzie cała armia rosyjska z Portu Artura dostała się do niewoli, wprawdzie około 11 tysięcy poległo, a 14 tysięcy jest rannych i chorych — ale mimo to nie są to straty tak znaczne, jak te, któremi Japończycy okupili zdobycie twierdzy.

Patrząc na te wysiłki tytaniczne Japonii w tej wojnie, z uważaną dotychczas za niezwyciężoną potęgę Rosyi — musimy wierzyć, że jest to prawdziwa wojna narodowa Japonii, że wynika ona z prawdziwych potrzeb kraju „Wschodzącego słońca“, skoro zdobywa się on na ofiary i na poświęcenia, które cały świat cywilizowany zadziwiają i wzbudzają powszechny szacunek.

Migawki teatralne.

Spadkobierca sławy Żółkowskiego — ulubieniec polskiej publiczności — Mieczysław Frenkel, jest obecnie jedną z największych gwiazd na horyzoncie teatralnym, z owej nielicznej plejady, w skład której wchodzą Rapacki, Żelazowski, Ładnowski, Leszczyński. Karyera artystyczna Frenkla była od samego wstąpienia jego na deski sceniczne, jednym wielkim pochodem tryumfalnym — i nie dziw: bo rydwan jego prowadziły: miłość do sztuki i wielki talent, graniczący niemal z genialnością. Talent to o niezmiernie wielkim zakresie i niespożytej sile twórczej. Właściwy jego podkład — to komizm, komizm w najszlachetniejszem słowa znaczeniu, komizm klasyczny, że się tak wyrazimy. Stwierdzają to jego kreacye z dziedziny komizmu w arcydziełach Szekspira, Moliera, Kalderona, Fredry. Drugą stroną genialnego uzdolnienia Frenkla, to odtworzenie charakterystyczne, wyposażone tą samą szerokością stylu i subtelnością odczucia.



MIECZYSŁAW FRENKEL.

zupełnie skończonem, a widz ma przed sobą typ Dorobkiewicza prawdziwie doskonały.

To też Frenkel podbija całkowicie widza, budzi podziw, którego zewnętrznym wyrazem jest burza oklasków zrywająca się po każdem opadnięciu kurtyny a nawet w czasie gry.

Wszystkie inne kreacye i w „Cyranie de Bergerac“ i w „Rozbitkach“ były równie doskonałe, ale klasyczny Geldhab, wszystkie tamte przewyższa tak, że i porównania nie można robić.

Bo też komedya Fredrowska jest kopalnią, dostarczającą tyle sposobności artyście do rozwinięcia swego talentu, do pokazania się w całej pełni, jak żadna inna. O ile chodzi o stworzenie typu klasycznego — to nie można tego robić gdzieindziej, tylko w klasycznej komedyi Fredry, klasycznej — mówię — bo życie w niej drga i bije pełnem tętnem.

W niniejszym numerze podajemy portret znakomitego artysty wraz z trzema zdjęciami w najlepszych jego rolach.



Mieczysław Frenkel w roli „Geldhaba“.



Mieczysław Frenkel w roli Bentivoglia w „Odrodzeniu“.

Dlatego też Frenkel jest równie znakomitym w kreacyach swoich w klasycznym starym repartuarze — jak i w zakresie ról modnych autorów ostatniej doby.

Mieczysław Frenkel ujrzał światło dzienne w r. 1860 w rodzinnym majątku, Byszowie, w powiecie sandomierskim a ojciec jego zamyślał inaczej zupełnie pokierować losem jedynaka: przygotowywano go do zawodu ziemianina. Po ukończeniu gimnazyum w Sandomierzu, wstąpił na wydział agronomiczny w uniwersytecie warszawskim. Istotne jego powołanie i instynkt artystyczny, drzemiący na dnie duszy, obudziły się w stolicy. Mieczysław Frenkel porzucił agronomię, zgolił wąsy i bez żadnych uprzednich studyów artystycznych wstąpił do krakowskiego teatru w r. 1881, zaangażowany przez ówczesnego dyrektora Stanisława Koźmiana, gdzie odrazu zajął wybitne stanowisko i pozostawał na niem przez trzy lata, t. j. do r. 1885. Następnie przenosi się na scenę lwowską, zostającą wówczas pod kierunkiem Dobrzańskiego, a stamtąd w roku 1890 do Warszawy, gdzie stale po dzień dzisiejszy (t. j. 15 lat z rzędu) pracuje. Nie wielu z pewnością jest w Warszawie ludzi, którzyby popularnością dorównywali Frenklowi. Zna go tam każdy, każdy lubi i uwielbia wielkiego artystę, którego nazwisko tak chlubnie zapisało się na kartach historyi polskiej sztuki. Wspaniałe jego kreacye jako to: Geldhab, Bentivoglio w „Odrodzeniu“, Strzemiączka w „Starym mężu“ — i wiele wiele innych — usprawiedliwiają ten entuzyazm tłumu dla osoby genialnego artysty.

Obecnie występuje M. Frenkel na deskach krakowskiego teatru; każda jego rola jest kreacyą na wskroś oryginalną, pełną życia, temperamentu i mimo, że w danym wypadku n. p. w Geldhabie widzieliśmy już kreacye prawdziwie świetne i pełne artystycznego ujęcia, rola ta w otworzeniu przez



Mieczysław Frenkel w roli Mateusza Strzemiączka w sztuce „Stary mąż“.

Frenkla miała w sobie cechy nowe, dotychczas przez nikogo nieuwydatnione i zupełnie indywidualne. Śmiało możemy powtórzyć za wszystkimi dziennikami, że typ stworzony przez Frenkla stoi pod względem i oryginalności i artystycznego wykonania, nie niżej od słynnej i przez siły drugorzędne zwykle naśladowanej kreacyi Żółkowskiego.

Geldhab w oddaniu Frenkla nie miał zwykle przez wykonawców zaznaczonego rysu żydowskiego, a był nasoleniem pyszałkochwałki mieszczańskiej. Pos[illegible] utrzymania przez cały czas w harmonii najw[illegible]ej, z uwydatnieniem momentów charakterysty[illegible]ch takiem, że całość nie staje się monotonną, [illegible]st pod względem artystycznym dziełem

Kącik humorystyczny.

U pośrednika małżeństw.

— Przedstawiłeś mi pan tę pannę jako skończoną piękność, a tymczasem...

— Mój Boże! cóż pan chce znowu? Przecież i na słońcu są plamy...

— Tak! ale nie wątrobiane!...

Enfant terrible.

Mały Henryś: Niech pan codzień do mojej mamusi przychodzi!...

Dandys (uradowany): Powiedz-no kochaneczku, więc naprawdę twoja mamusia mnie tak chętnie widzi w swoim domu?

Mały Henryś: To nie! ale ja dostaję zawse od mamusi centa, zebym panu powiedzial, ze jej niema w domu!...

Niepraktyczna.

— Kasiu! zapomniałaś znów podać mi szczypczyki do cukru! — strofuje pani domu pokojówkę.

Pokojówka bierze ręką kilka kawałków cukru z cukierniczki, wrzuca pani do filiżanki i mówi:

— Ależ to dopiero z pani niepraktyczna osoba!...

W sądzie.

Sędzia: Niechże mi teraz oskarżony zaraz powie otwarcie, co go skusiło, że oknem zakradł się do cudzego pomieszkania?

Złodziej: Wysoki trybunale! Wielmożny panie sędzio! Proszę tylko pomyśleć, że dokoła nigdzie nie było ani jednego policyanta, okno było otwarte, w pomieszkaniu ani żywej duszy — no, wobec tego chyba nawet sam pan sędzia uległby pokusie!...

Jan Drozdowski.

Pedagogia muzyczna ma swą zapłatę nie tylko w mamonie i w miłem zadowoleniu z spełnienia trudnych obowiązków — lecz przedewszystkiem w owocach tej pracy i w tej serdecznej łączności, w jakiej pozostaje uczeń do uczącego. W tym też kierunku, żaden może z rodzajów nauczania nie wytwarza tyle łączności między uczniem a nauczycielem co muzyka. Najsympatyczniejszym z takich najsympatyczniejszych maestrów jest p. Jan Drozdowski, piastujący od lat przeszło szesnastu trudne obowiązki profesora krakowskiego konserwatoryum, a pełniący te obowiązki z całym zapałem, poświęceniem i niemal zupełną abnegacyą własnego ja, na korzyść ukochanych uczni i uczennic, szczerze do swego maestra przywiązanych.

Jan Drozdowski (ur. 2 lutego 1857 r.) pochodzi z rodziny muzyków znanej i dobrze a chlubnie zapisanej w annałach muzyki krakowskiej i polskiej.

Sztuki muzycznej uczył się początkowo w domu rodzicielskim, później u Płacheckiego. Żądny wiedzy, wyjechał na dalsze studya za granicę. Studyował w Wiedniu, poczem wróciwszy do miasta rodzinnego, oddał się cały pracy dla swoich.

Drozdowski, oprócz kompozycyj i transkrypcyj, opracowuje najpierw szkołę techniki fortepianowej, dając jej na zasadzie spostrzeżeń i doświadczeń osobistych, wiele cennych i w tej dziedzinie niewyzyskanych momentów.

Dzieło to, znalazło uznanie u... obcych, bo kiedy nakładcy nasi nie mieli odwagi do jego wydania... posłał Drozdowski je do Monachium do S. A. Aibla, który pracę tę kazał przetłumaczyć na niemieckie i wydał bez wahania. Nosi tytuł: „Systematische Schule der Klaviertechnik“. Gdy jednak nazwisko kończące się na ski, tak dziś szwabom niemiłe,



Jan Drozdowski.

musiał się nasz polski pedagog skryć poza, tak dobrze po niemiecku jak i po polsku brzmiący, pseudonim... J. D. Jordan. Dzieło doczekało się kilkunastu wydań, a o jego wartości świadczy i ta okoliczność, iż od Aibla odkupiło go słynne światowe konsorcyum wydawniczo-muzyczne „Universal-Editión“ i robi dobre interesy.

Drozdowski odczuwał w ciągu pracy swej brak dzieła, które pomagałoby nauczycielowi rozwijać równocześnie miłość i ukochanie motywów ojczystych równie jak obce pięknych, a często i piękniejszych. Potrzeba ta spowodowała go do napisania nowego dzieła.

Szkoła Drozdowskiego, oparta przeważnie na motywach polskiej ludowej twórczości muzycznej, zawiera obok najznakomitszych przykładów z muzyki klasycznej — także i ustępy z muzyki słowiańskiej. Skromny tytuł dzieła „Szkoła na fortepian“ powinien właściwie brzmieć: „Polska szkoła na fortepian“. Jest to bowiem w całem najobszerniejszem znaczeniu tego słowa polska szkoła.

Lecz tu właśnie sęk, czy taki przymiotnik nie odbiłby się smutnie na poczytności dzieła. Tak zrosła się z nami nieufność do wszelkiej produkcyi naszej i wiara na ślepo w doskonałość tudzież „solidność“ wszystkiego, co nam przysyła zagranica i nieufność do wszystkiego, co swoje, że tytuł został bez przymiotnika. W Niemczech dzieło takie ochrzczonoby bez wahania jako „Eine deutsche Klavierschule“, a pokup jego i zbyt najszerszy, byłby zapewniony.

Liczne rzesze nauczycielek i nauczycieli początków muzyki, powinny zająć się szczerze tem dziełem ich kolegi i uczni rozpoczynających naukę gry fortepianowej kształcić już na tej szkole. Czas bowiem już najwyższy, aby dziatwa polska przestała stawiać swe kroki w grze fortepianowej, przy pomocy mocno już zwietrzałych podręczników.

Nie tu miejsce na obszerniejszą ocenę pracy p. Drozdowskiego. Ocenili ją fachowi sprawozdawcy na szpaltach prasy codziennej i zawodowej — my zaznaczamy tylko uczciwą i zbożną pracę — prawdziwy czyn obywatelski — tego cichego i skromnego pracownika i życzymy mu szczerze, aby dzieło, w które włożył i wiele wiedzy i wiele trudu i wiele serca i wiele uczuć Polaka, doznało u jego kolegów zawodowych jak najżyczliwszego przyjęcia, na co w całej pełni zasługuje.



LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

(Dokończenie).

10

Nadszedł wreszcie tak oczekiwany dzień wyborów. Na rynku kołomyjskim gwarno i huczno. Grupy ludzi przechadzają się pod ratuszem rozprawiając i giestykulując bardzo żywo.

Stronnictwa wymyślają sobie prostackimi wyrazami nawzajem. To i owdzie bójki, lecz policya i żandarmerya, wylęgła na widownię w znacznej liczbie, rozdziela nacierających na siebie. Największej hałasu między żydami. Pierwotnie dzielili się oni na cztery części: na kahalników, zwolenników dr. Turteltauba, socyalistów, tałesników i syonistów. Następnie syoniści połączyli się zupełnie z kahałem, a dr. Tałkes, lubo nie zrzekł się kandydatury, stał się wodzem zupełnie bez armiji. Simche Goldstückel rozbił w ostatniej chwili stronnictwo kahalne na dwa odłamy. Wyzyskał on bowiem agitacyjnie wobec najprawowierniejszych chasydów stwierdzony fakt, że rebe z Stadlau jest „apikores“, noszący się „dacz“ tak, jak każdy „goj“ miejski. Przybywszy do Kołomyi kupił sobie strój żydowski chcąc się przebrać, co równa się oszukaństwu. Taki rabin „tref“. Bóg go skarał. Nim zdołał przebrać się po żydowsku, uwięziono go. Gdy go wypuszczono z kozy widziało go dużo żydów ubranego po niemiecku, między tymi Mojsze Prymchower, radny gminny i członek kahału, Szmaja Cybuch, Szloma Kurbistein i wielu innych. Potem zjawił się w *bekeszy, spodku i tefilem*, lecz to było oczywistem oszukaństwem. Prymchower i Cybuch, żydzi słynący z pobożności oburzeni byli do najwyższego stopnia postępkiem rabina ostre czyniąc zarzuty Jojnemu, że takiego upatrzył kandydata. J jne sam martwił się ogromnie, lecz jako roztropny polityk mając do wyboru pomiędzy zamaniem kandydatury rabina z Stadlau — albo narażeniem stronnictwa kahalnego na rozbicie i urągowisko powszechne, wybrał mniejsze złe to jest pierwsze. Zaklinał więc rokoszan, żeby nie zrywali zgody jedności, bo przepadnie „*Gedile*“ kahału a następnie przeciwnicy żydów zdołają zawładnąć miastem. Oburzenie atoli pobożnych żydów na bezbożnego rabina było tak wielkie, że dogadywania i perswazye Jojny nie odniosły żadnego skutku, zwłaszcza, że Goldstückel wrzeszczał na całe gardło:

— To *ruf tref... apikores, panem...* Macie wybierać takiego *rufa — apikores* wolicie wybrać tak mądrego męża jak dr. Turteltaub, który nikogo nie oszukuje i nie przebiera się na wybory jak na *purim*-bal. Dla skrajnych „pobożnych“ był jednak i on *apikores*. Po naradzie uchwalili głosować na „swego“, na Prymhowera, chociaż wiedzieli, że żadnych szans nie mają.

Rozłam w stronnictwie kahalnem wychodził na korzyść obydwóch kandydatów t. j. dr. Turteltauba i hr. Młodzieńskiego.

Od ulicy Franciszka Józefa zalatuje krzyk i wrzawa. Pochód tałeśników z Krikalisem na czele. Niosą czerwoną chorągiew. Okrzyki: *Hojch internacjonałe tudes*! Ogromne zbiegowisko.

Z przeciwnej strony naciąga koszowy z „siczowymi“. Wrzeszczą: „*Pohybel wsim worocham Ukrainy*“! Żandarmi rozpędzają tłum. Koszowy stawia opór. Aresztują go.

Na zegarze ratuszowym bije godzina szósta. Koniec wyboru.

* * *

Przed Korpaczem grają raźno cyganie. Pokój śniadaniowy roi się kwartalnikami. Oczekują wiadomości o wyniku wyborów. Skrutynium głosów odbywa się już od dwóch godzin. Baron Seydel pewny zwycięstwa „Gucia“. Gotów z każdym założyć się o dobre cygaro.

Złowrogo posmutniał Przekrasa jakoby trapiony wieszczem przeczuciem. Nie dziw, że większą miał tremę jak inni zwolennicy hrabiego. On bowiem w razie zwycięstwa stronnictwa chrześciańskiego przeznaczony był na stolec burmistrza, w miejsce Kajcia Aspana, „popychadła żydowskiego“.

Ponsowiał z niepewności, co najbliższa przyniesie chwila.

Gdy toastowano „*erlauerem*“ na „zdrowie naszego posła!“ impr[illegible]

— [illegible] mieści;

/ [illegible]

Nic pewnego na tym świecie,
Więdną najpiękniejsze kwiecie.

Dalsze słowa jego przygłuszyły gromkie okrzyki:

— Niech żyje poseł nasz hr. Młodzieński!

Poczem zaśpiewano: „*Mnohaja lita*“!

Nadbiega pędem strzały Namentowski. Woła:

— Poseł wybrany!

Ogromne porażenie. Z kilkudziesięciu ust wymyka się równocześnie pytanie:

— Kto?

— Dr. Turteltaub... hrabia sam się pogrzebał.

Przed hotelem angielskim ogromny hałas i wrzawa. Niosą na rękach nowego posła. Obnoszą go po rynku. Korowód robi stacyę przed Korpaczem. Kwartalnicy witają go okrzykami.

Baron Seydel proponuje „oblać“ nowego posła. Strzela szampan. Aptekarz Szypułka ma głos:

— Niesnaskom koniec
Zrobić już tr/a,
Niech dawna zgoda,
Braterstwo trwa.

Duszkiem szampana
Wychylmy z czasz:
Wiwat! niech żyje
Turteltaub nasz!

I zapanowała odtąd zgoda gołębia w stolicy pokuckiej spokój i cisza przerywana tylko od czasu do czasu odgłosem szelestu walki papierowej pomiędzy „Kukułką Pokucką“ a „Makolągwą Huculską“

Jak świat światem Niesamowitemu nie będzie Mądrychowicz bratem.

Kwartalnicy zawsze w najlepszym humorze. Jasio nieprzebrany w pomysłach i konceptach Skarbonka kwartalnicy pełna, bo nieraz żwawe toczą się dysputy.

Najbliższa kwartalnica odbędzie się na cześć kandydatów kwartalnickich, przepadłych jednogłośnie t. j. własnym głosem przeciwko wszystkim innym głosom.

Zasadom stało się jednak zadość.

KONIEC.

Nieśmiertelny kapelusz pana Kacpra.

(Humoreska).

Dokończenie.

— Przyjemnie mi, żem ci zrobił tę małą niespodziankę – rzekł z dość cierpkim uśmiechem gospodarz — lecz powiedz mi skąd powziąłeś myśl o mojej śmierci?

— Przypuszczenie? – zawołał z afektacyą przyjaciel – powiedz pewność!... Skąd powziąłem? Posłuchaj! Wracam ja wczoraj z miasteczka wieczorem... Koło tych trzech brzóz, obok twojego domu – zgadnij kogo widzę w rowie?

— Nie wiem – odparł lakonicznie p. Kacper.

— Żebraka, włóczęgę jakiegoś pijanego, a obok niego twój kapelusz!... Oto jest! – dodał, wydobywając z pod poły surduta i kładąc na stole stary kapelusz p. Kacpra.

| Nie pojmuję jednak... — zaczął gospodarz.

— Zaczekaj! otóż wpadłem na domysł, że stałeś się ofiarą morderstwa i rabunku. Kapelusz zabrałem, jako *corpus delicti,* a ptaszka kazałem zamknąć.

— Jakiego ptaszka?

— No, twego mordercę, tego dziada pijanego.

Pan Kacper zerwał się teraz na równe nogi.

— Gdzie on jest?

— A w areszcie gminnym!... Teraz widzę, że pokpiłem trochę sprawę, a szkoda! takie ładne *corpus delicti*!

Oczywiście, że pan Kacper, zapomniawszy już o kapeluszu, pobiegł co żywo, by uwolnić nieszczęśliwego włóczęgę z aresztu i zrehabilitować dziadowską opinię niewinnie cierpiącego.

Gdy wrócił do domu wzrok jego padł na nieszczęsny kapelusz.

— Poczekaj no ty, stary gracie! — zaklął pocichu — niech tylko wieczór przyjdzie! już ja cię urządzę!...

Na czem polegało „urządzenie“ mściwego kolonisty? Otóż pan Kacper w nowym kapeluszu na głowie, a starym w ręku, poszedł daleko w pole, gdzie między zbożem ustawiony był strach na wróble, na którym zawiesił „to przeklęte pudło“.

— No! przynajmniej teraz nikt z ciebie nie zrobi „corpus delicti“, a ze mnie nieboszczyka — rzekł do siebie, oglądnąwszy się raz jeszcze, jakby w obawie, by czasem kapelusz za nim nie pobiegł.

Na drugi dzień zrana, podając p. Kacprowi kawę do łóżka zameldowała mu siostrzyczka przybycie nocnego stróża.

— A czegóż on chce? — zawołał ex-właściciel stracha na wróble.

— Nie wiem – odparła wiekowa niewiasta – niech się brat z nim sam rozmówi!

— Czy u szanownego pana nie było tu wczoraj kradzieży albo włamania? — recytował jednym tchem nocny dostojnik. — Zdaje mi się, że musieli tu być złodzieje i doszczętnie pana okradli. Zuchwałe bestye. Nie dość na tem! jakby na drwiny zatknęli pański kapelusz na strachu na wróble! Kapelusz zabrałem oczywiście i przynoszę panu!

Przy tych słowach dobył z olbrzymiej, czerwonej chustki nieszczęśliwy kapelusz i podał go uprzejmie panu Kacprowi. Lecz ten ku wielkiemu zdumieniu nocnego stróża — cisnął kapelusz z furyą w kąt pokoju, krzyknąwszy z rozpaczą:

— Boże! Boże! czy ja się tego czupiradła nie pozbędę?!

Sprawa została wyjaśniona – stróż odprawiony wraz z podziękowaniem, równającem się paru złotym, ale kapelusz został.

Pan Kacper już się „zaciął“... Kopnął kapelusz, który wskutek tej niczem nieusprawiedliwionej nieuprzejmości swego właściciela, znalazł się teraz w drugim kącie pokoju.

Dawszy w ten sposób wyraz swej zemście i pogardzie, przeszedł stary kawaler do pokoju siostry i oświadczył jej, że na obiedzie dziś nie będzie, a natomiast najbliższym pociągiem wyjeżdża do Warszawy w odwiedziny do starego przyjaciela.

Pobożna niewiasta przeżegnała się znowu, ale że już „czas był na pociąg“, kazała zaprzęgać i w niecały kwadrans zdążał pan Kacper na bryczce, ściskając swój stary kapelusz pod pachą, podczas gdy nowym odpowiadał uprzejmie na pozdrowienia wieśniaków, podziwiających w milczeniu nowe nakrycie głowy kolonisty.

W dobrym humorze wsiadł do wagonu III kl. i z przyjemnością zauważył, gdy pociąg ruszył, że w coupée sam się tylko znajduje.

Gdy pociąg był w największym pędzie, odwinął swój stary kapelusz z gazety, otworzył okno i, trzymając w ręku biednego delikwenta, mówił z całem upojeniem zemsty do niego:

— No! jak cię teraz szpurnę na plant kolejowy, to chyba odczepisz się odemnie, ty dyabelski gałganie.

— Ale bądźmy ostrożni i przewidujący — mruczał już do siebie — a może znów kto znajomy idzie koło plantu?

Rzekłszy to, wychylił się „dla pewności“ przez okno, trzymając w pogotowiu skazańca.

Lecz ledwie się wychylił, uderza silny prąd powietrza w jego nowy kapelusz na głowie i zrywa go pod koła pociągu, zanim pan Kacper zdołał katastrofie zapobiedz.

Zrozpaczony kolonista rzucił się całym ciężarem swej korpulencyi na ławkę.

— Nie! to już przeznaczenie, czy przekleństwo! — jęczał — wybieram się umyślnie z domu, jadę koleją, by się tej starej szmaty pozbyć — i pozbywam się nowiutkiego kapelusza!...

W pierwszej pasyi chciał go pan Kacper na drobne kawałki potargać, lecz rychło się opamiętał, i słusznie!... Bez kapelusza przecież ani w Krakowie, ani nawet u siebie w domu nie mógłby się pokazać. Zamiast więc rozpocząć na nim dzieło zniszczenia – wygładził go, wyczyścił jako tako rękoma i z rezygnacyą wcisnął na głowę.

Plan podróży został atoli zmieniony. Pan Kacper wysiadł na najbliższej stacyi, i doczekawszy się właściwego pociągu, powrócił do miasteczka, a stąd do swojej kolonii. Powrócił uboższy o jeden kapelusz, a bogatszy o jedno przekonanie: że stary kapelusz absolutnie opuścić go nie chce i żadna siła ludzka, żaden fortel, z uprzywilejowanego jego miejsca: głowy właściciela go nie usunie.

Pan Kacper dał też za wygraną.

Do dziś dnia chodzi w swoim wiecznym, nieśmiertelnym kapeluszu...

Fortis.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożył W. K.

I.

Pierwsze i *trzecie:* nieraz gubią człeka –
Więc, kto ma rozum: niech od nich ucieka!
Drugie i *pierwsze:* rzeka na Zachodzie.
Całość na balach: dotąd jeszcze w modzie.

II.

Pierwsze i *trzecie:* składają pątnicy
W kościele, albo w cudownej kaplicy.
Drugie — to imię: z „Potopu“ ci znane,
Chociaż z powieścią mało jest związane.
Całość: miejscowość — poszukaj na mapce...
Lecz wpierw wygodnie usiądź na kanapce!...

Arytmogryf.

Załączone liczby zastąpić literami; środkowe litery utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

Kombinacye.

							1							
						2	**3**	4						
					2	5	**6**	7	1					
				1	6	3	**4**	8	1	9				
			1	3	4	8	**7**	10	11	3	12			
		10	13	14	8	7	**12**	3	15	16	1	8		
1	**3**	**6**	**4**	**7**	**12**	**5**	**17**	**5**	**17**	**16**	**1**	**8**		
		14	9	10	8	7	**17**	3	15	8	10	7		
			18	19	3	2	**7**	6	5	4	3			
				1	3	20	**17**	7	21	22				
					11	3	**16**	7	19					
						8	**1**	16						
							8							

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Dźwięk
3. Os...
4. [illegible]

11. Stanowisko w dyplomacyi.
12. Nazwa spółgłoski.
13. Samogłoska.

Zadanie.

Załączone kropki zastąpić literami w ten sposób, aby środkowe, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety i humorysty polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię żeńskie.
2. Gatunek zębów.
3. Tygodnik polski.
4. Poemat Słowackiego.
5. Miasto w gub. kieleckiej.
6. Poeta polski.
7. Ułamki utworów.
8. Prowincya polska.
9. Utwory poetyckie.
10. Znaczny okres czasu.
11. Skrócone imię żeńskie.
12. Symbol boleści.
13. Ciało lotne.
14. Osada w gub. radomskiej.
15. Panujący.
16. Miasto w gub. kaliskiej.
17. Słynny kaznodzieja.
18. Miasto w gub. lubelskiej.
19. Humorysta polski.

Wzmiankowane wyrazy składają się z następujących sylab:

. a, an, au, cya, drya, drze, dyon, e, e, frag, ga, ga, gaz, ge, gów, gust, i, i, ję, jów, kły, koń, kró, ksan, lan, le, le, li, ła, łza, men, ni, no, ny, piotr, ra, radz, ry, skar, sie, ski, sport, to, tre, ty, wa, wa, wil, za.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy:

„Humoreski“ Stasiaka.

Rozwiązania z Nru 4.

Rebus: Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju.
Szarada: Sybaryta.
Łamigłówka: Lampa stołowa.
Logogryf: Abonujcie i czytajcie Nowości illustrowane.
Łamigłówka kwadratowa: Fredro — Zemsta.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Josefert, Syrkówna, Władysław i Janina Jagiełłowiczowie, Jaraczewski, Ostruszko, Broczkowski, Giorczak, Mokrzycka, Stefański.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Jaraczewski Lwów.

Prosimy o nadesłanie 50 hal na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada.)

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław. Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.